Nr. 15. Lwów, Niedziela dnia 9. Kwietnia 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XIV.

Precz z pożyczkami głodowemi!

Litujemy się nad człowiekiem, któremu dochód bieżący wystarcza tylko na skąpe zaspokojenie najbliższych potrzeb codziennych, a który mrze już z głodu, gdy przez jeden dzień przerwie mu się zarobek. Słusznie liczą się tacy ludzie do kategorji bardzo ubogich, nazywają się ludźmi „bez jutra."

Otóż w podobnem położeniu znajduje się cały nasz kraj. Produkcja jego wystarcza tylko na liche po największej części przeżywienie ludności z roku na rok, a niechaj tylko jedne żniwa chybią, to już z następną wiosną nie staje ziarna na obsiewy, i głód nawidza dotknięte nieurodzajem okolice.

W trwającej obecnie sesji, Sejm nasz po raz trzeci w dziesięcioletnim okresie czasu od r. 1866 zmuszony był zawotować pożyczkę na bezzwrotne zapomogi i zaliczki głodowe, a Rada państwa we Wiedniu na podstawie relacyj Namiestnictwa uczuła się zniewoloną wyznaczyć na ten sam cel dość znaczną kwotę. Ogółem ma być rozdany z funduszów państwowych i krajowych miljon złr. z tego 700.000 złr. na zaliczki zwrotne w terminie aż do pięciu lat, a 300.000 złr. na bezzwrotne zapomogi. Rozdawnictwo już się rozpoczęło.

Żywiej jak w dawniejszych latach uwydatniła się przy tegorocznych rozprawach sejmowych nad kwestją głodową dążność, aby obmyśleć środki radykalnego wydźwignienia społeczności naszej z tak smutnego położenia ekonomicznego, żeby jedno żniwo nieudałe mogło pociągać za sobą takie spustoszenia w dobrym bycie mieszkańców, jak to się obecnie dzieje. W tym też celu uchwalił Sejm na wniosek komisji rezolucję następującej osnowy:

„Poleca się Wydziałowi krajowemu, ażeby dla zbadania przyczyn zubożenia powszechnego w kraju i zwiększającego się upadku gospodarstw wiejskich, tudzież dla obmyślenia środków podźwignienia kraju z tego smutnego stanu, zwołał ankietę i wynik jej czynności przedłożył przyszłemu Sejmowi."

Tym sposobem reprezentacja kraju postawiła poniekąd na porządku dziennym dyskusji publicznej pytanie, co przedsięwziąć należy, aby raz na zawsze umorzyć kwestję głodową? Jest to teraz istotnie jedna z domowych spraw naszych najpilniej domagająca się załatwienia. Rozpatrując się jednak dokładniej w tym przedmiocie, potrzeba przyjść do przekonania, że jednostronnie nie można go traktować — że należy tu wziąć pod ścisłą rozwagę wszystkie te różnorodne okoliczności, które jakikolwiek wpływ wywierają na ekonomiczno-społeczne stosunki nietylko samych włościan, lecz nawet w ogóle całej ludności kraju.

Dodatkowo do rezolucji, której osnowę powyżej przytoczyliśmy, na wniosek p. Zyblikiewicza powziął Sejm uchwałę, wzywającą Wydział krajowy, aby pod rozwagę owej ankiety, o której jest mowa w rezolucji, podał plan założenia przy pomocy funduszu krajowego tylu zaliczkowych kas powiatowych, ile jest powiatów, jak nie mniej, aby reprezentacja kraju w nieustannej miała opiece te kasy powiatowe czuwając nad tem bez przerwy, iżby nie brakło im nigdy taniego kapitału obrotowego — mniej więcej na 6%.

Byłby to niezawodnie bardzo pożyteczny środek pomocniczy do ekonomicznego podźwignienia mas ludowych. Czy jednakże zaradzi on potrzebie?

Stanowczo można powiedzieć, że — nie.

Wszakże mamy już teraz nie 74, ale więcej jak 80 stowarzyszeń zaliczkowych, których obrót roczny przekracza z pewnością sumę 15 miljonów złr. z dochodzącym do miljona majątkiem własnym — a przecież wystarczają one zaledwie na zaspokojenie tylko drobnej części potrzeb interesowanej publiczności.

Stowarzyszenia kredytowe oparte na wzajemności i solidarnej odpowiedzialności członków, mają tą właściwość, że przyzwyczajają dłużnika do punktualności, gdyż nakładają na niego obowiązek płacenia drobnych lecz częstych rat umarzających, a przytem zmuszają go one poniekąd do oszczędności, do kapitalizowania pewnej cząstki dochodów swoich. A ponieważ wymaga także ich ustrój aby dłużnik miał zapewniony drugi jeszcze dobry podpis poręczający, to wskutek tego włościanin, zaciągający dług w kasie zaliczkowej, podaje się niejako pod kontrolę swojego ręczyciela, który go ciągle ma na oku tak długo, dopóki wspólnie obowiązujący dług nie zostanie umorzony. Otóż w równym stopniu jak lichwiarskie długi materjalnie i moralnie rujnują dłużnika, tak znowu pożyczki od stowarzyszeń zaliczkowych umoralniają dłużnika, przyzwyczajając go do punktualności, oszczędności i gospodarności. I w tym umoralniającym wpływie leży właśnie wysokie znaczenie ekonomiczno-społeczne takich spółek, te właściwości ich są powodem, że żadne inne, jakiegokolwiekbądź rodzaju instytucje kredytowe ich dobroczynnemu wpływowi na społeczeństwo nie wyrównają.

Wziąwszy jednak pod rozwagę tylko pieniężne znaczenie stowarzyszeń zaliczkowych w ich teraźniejszym ustroju, potrzeba przyjść do przekonania, iż nie wystarczają one potrzebie nietylko z powodu braku dostatecznej ilości funduszów obrotowych, ale niemniej także i dlatego, że przy teraźniejszym ich ustroju, nie trafiają one właśnie w najważniejsze potrzeby pieniężne drobnych gospodarzy rolnych.

Bo i zkądże bierze się początek długów włościańskich? Oto z drobnych dłużków na dopełnienie kwartalnej raty podatków, na kupno ziarna do obsiewów lub na przednowku, za wódkę przy okazjach weselnych, chrzcin, praźników i t. d. Długi podobne, z początku nie wiele znaczące, nie oddane na czas i po barbarzyńsku oprocentowane, wzrastają w nader szybkiej progressji i dołączają się do nich coraz nowe pożyczki. Jeżeli więc jeszcze dość wcześnie gospodarz poratuje się w kasie zaliczkowej to jego szczęście. Lecz niestety bardzo często tak się jednak dzieje, że niby na spłacenie lichwiarskich długów pożycza włościanin w kasie zaliczkowej tak znaczną sumę, że nic absolutnie nie jest w stanie

oddać jej z dochodów swojego gospodarstwa w przeciągu roku, dwóch albo chociażby nawet i trzech lat. Zapożycza się więc dalej na raty dla kasy zaliczkowej u lichwiarza, co wyniszcza go do szczętu.

Pożyczki realne w istniejących dotychczas włościańskich instytucjach bankowych są teraz niezmiernie kosztowne. Umorzenie ich jest teraz rozłożone na 10 a najwięcej na 15 lat, a przytem tak są oprocentowane że np. umorzenie pożyczki zaciągniętej w Banku rustykalnym do połowy wartości realnej gospodarstwa, do umorzenia w przeciągu 10 lat pochłaniać musi 9% tejże wartości rocznie. Zważywszy przytem, że ów dłużnik ma utrzymać z dochodów tego gospodarstwa siebie z rodziną, opłacić podatki i opędzić wszystkie inne potrzeby bieżące, to jakżeż można przypuścić, aby przy teraźniejszej metodzie gospodarowania naszych włościan, mogło im pozostawać jeszcze 9% *netto* na umorzenie długu bankowego? Więc oczywistą jest rzeczą, że hipoteczne zakłady kredytowe włościańskie, w tym ustroju, jaki obecnie posiadają, nie odpowiadają swojemu ekonomicznemu zadaniu.

Z tych uwag wynika, że aby położyć kres dalszemu rujnowaniu się ludności włościańskiej przez długi, i podnieść ich dobrobyt materjalny do tego stopnia, żeby na przyszłość zapomogi głodowe stały się zbytecznemi, potrzeba:

1) wspierać lokalne zakłady pożyczkowe gminne t. z. gromadzkie kasy pożyczkowe, które bezpośrednio konkurencję czynią miejscowym lichwiarzom, dostarczając włościanom kredytu na drobne potrzeby bieżące;

2) pomyśleć o utworzeniu jakiejś instytucji kredytowej dla włościan, na wielką skalę urzędzonej, która dostarczałaby im pożyczek realnych pod lżejszemi warunkami, i na znacznie dłuższe termina niż dotychczasowe banki włościańskie, które wywierają niezaprzeczenie wpływ bardzo szkodliwy na ekonomiczny byt rolników drobnych.

Otóż nie zaprzeczając bynajmniej zbawiennej doniosłości wpływu stowarzyszeń zaliczkowych, dochodzimy przy roztrząsaniu ekonomicznego położenia włościan i ich potrzeb kredytowych do przytoczonych tu wniosków.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

I.

Nie sama krew w obronie ojczyzny przelana jest wodą oczyszczającą owego „chrztu polskiego,“ przez który jak już powiedzieliśmy, przechodzić musi i od tak dawna przechodzi każde nowe pokolenie w naszej ojczyźnie, są inne jeszcze ceremonje które nieodłącznie należą do tego powszechnego u narodów pognębionych obrządku.

Kto nie padł na polu walki, albo kogo bądź sztuka bądź naturalna żywotność organizmu ocaliła od bezpośredniego złożenia we wspólnym grobie, ten jeszcze nie uniknął dwóch innych wspólnych grobów, które wciąż są otwarte i ciągle czyhają na niego.

Grobami temi są z jednej strony tułactwo, z drugiej wygnanie.

Które z tego dwojga straszniejsze, powiedzieć trudno, jest też w tem poniekąd tylko położenia geograficznego różnica.

Wygnańca na wschód pędzą, a tułacz uchodzi na zachód, — obaj jednako oderwani od pnia z którym się zrośli, od gleby która ich wykarmiła, od źródła zkąd czerpali soki życiowe, obaj skazani na życie sztuczne, na aklimatyzowanie się w innym obyczaju, na przywykanie do innego słońca i do innego powietrza, do innych ludzi i innych stosunków.

I niech nikt nie mówi, że jeden w korzystniejszem od drugiego jest położeniu, bo idzie w świat jakoby dobrowolnie, gdy drugiego pędzą przemocą! Jeden i drugi nie poszliby z pewnością, gdyby im wolno było nie pójść, jednego i drugiego wyrzuca z kraju ta sama przemoc, tylko nie pod tą samą postacią.

I niech nikt także nie mówi, że wygnaniec syberyjski skazany jest na ciężką pracę gdy emigrant za granicą, mając jej wybór dowolny, może sobie życie osłodzić i ułatwić. Wiemy od wielu wygnańców syberyjskich, że tam, w ziemi lodów i dziewięciomiesięcznej zimy używali względnej swobody, żyli dosyć wygodnie i dostatnio, gdy tymczasem widzieliśmy na własne oczy tułaczów, którzy przechodzili męczarnie głodu i którym niedostatek dni wygnania przemieniał w powolne konanie.

Jedyną różnicą jakaby zachodzić mogła między położeniem jednych i drugich jest różnica otoczenia. Skazańcy syberyjscy znajdują się między zbrodniarzami i niewolnikami i sami są uważani za zbrodniarzy i niewolników, — tułacz żyje między ludźmi wolnymi i może się mieć za wolnego. Ale czy jest wolnym w istocie, to inne pytanie. W najbliższych nawet krajach są wyjątkowe prawa dla przybyszów, a pełni praw obywatelskich używają tylko miejscowi obywatele. Dla tułacza ta wolność, którą otoczonym się widzi jest więc tylko owocem pożądania, tem ponętniejszym, że go ma prawie pod ręką, a przecież dosiądz go nie można. Stanowisko emigranta jest wszędzie i zawsze nienormalnem, zależnem mniej lub więcej od kaprysu, od wiatru wiejącego w sferach politycznych, jutro jego nigdzie niepewne a dzisiaj wszystko zatrute, bo na każdy kęs chleba który on spożywa patrzą zawistni jak na strawę od ich ust odjętą, bo w nim widzą niechętni nieuprawnionego współzawodnika, intruza, który przyszedł niewiedzieć zkąd, aby im zabierać miejsce w wielkiej pracowni życia, ażeby z nimi toczyć darwinowską walkę o byt.

Nie ma więc istotnej różnicy między jednem i drugiem, chyba ta jedynie, że na Syberji, pośród półdzikich, zbliżonych do stanu natury plemion, tułacz wyższy oświatą wyższy świętą ideą za którą cierpi, staje się mimowiednie pionierem cywilizacji, ogniskiem szerzącem światło, źródłem uszlachetnienia, pracownikiem podnoszącym umysłowy poziom ogólny, gdy tymczasem tam, na zachodzie, w krajach oświeconych i dalej w cywilizacji posuniętych, tułacz olśniony pierwszem swej wyższości wrażeniem, oducza się częstokroć kochać to co porzucił, zapomina o swej ojczyźnie, zaraża się prądem kosmopolityzmu i w pracy na chleb powszedni zatraca poczucie wyższych potrzeb duchowych, zatraca ideę w imię której swój ojczysty zagon opuścił, staje się przeszczepkiem na obcy grunt, niepożytecznym jeszcze dla obcych a już na nic nieprzydatnym dla swoich.

I jeżeli jest inna jeszcze różnica, to znów w tem chyba, że tułacz daleko więcej niż wygnaniec narażonym jest na pokusę pójścia w służbę jakiejś idei napozór z jego ideą narodową pokrewnej, tak że w końcu zmieniając jedna po drugiej chorągwie i liberje, zatraca się dla narodu swojego.

Wszystko to są rzeczy wiadome i znane, nie rozwodźmy się więc dłużej nad niemi lecz wróćmy do przerwanego wątku naszej powieści.

Rozpoczyna się on na nowo w chwili gdy już ostatnie szczątki powstańczych oddziałów wytropione zostały w lasach, gdy ostatnich dowódców rozstrzelano lub wyparto za granicę, jeśli na polu walki nie polegli. Sporo więc czasu, rok przeszło upłynął od opisanych w poprzedniej części naszego opowiadania wypadków.

Ażeby przecież nawiązać nić naszego opowiadania musimy streścić tutaj niektóre wypadki zaszłe między jedną a drugą epoką.

W nocy tegoż samego dnia kiedy oddział pana Bonawentury przekroczył granicę i został rozbrojonym, przekradał się przez tęż granicę, człowiek młody i bardzo osłabiony.

Rękę miał obandażowaną na prędce. Z warg jego zbladłych krew ustąpiła, bladość napół śmiertelna powlekała jego policzki, z oczu tylko nieprzygasłych wcale tryskała gorączkowa energja.

Czytelnik z łatwością się domyśli, że był to wnuk karczmarza z Rozdroża, Józef.

Kiedy go wieziono na wozie z innymi rannymi, korzystając ze znajomości niemieckiego języka wdał się w rozmowę z jednym z konwojujących żołnierzy.

— Co z nami będzie? — spytał.

— Eh! nic strasznego — odpowiedział pocieszająco żołnierz.

— Zawiozą nas do miasta, spiszą i puszczą?...

— Oh! tak znowu mało, to nie.

— Więc cóż zrobią?

— Będą internowali.

Józef nie rozumiał dobrze znaczenia tego wyrazu.

— Cóż to jest internowali?

— Osadzą was w twierdzy, żeby który do powstania nie wrócił.

— W jakiejże to twierdzy?

— Najprędzej w Czechach albo na Morawie, w Ołomuńcu lub Königsgrätzu.

— A będziemy mogli znieść się przed tem z rodzinami?

— Nie wiem, lecz wątpię... chyba dopiero z miejsca...

— A kiedyż będziemy na miejscu?...

— Nie wiem... może za tydzień lub za dwa.

Józef się zamyślił.

— Tydzień... dwa... więc przez dwa albo trzy tygodnie ona będzie w niepewności o jego losie, będzie sądziła że on zginął, nie będzie wiedziała gdzie on jest!... Ależ to ją zabije!...

Czytelnikowi już wiadomo kogo tu wnuk Mortka oznaczał zaimkami „ona“ i „on.“

Nie wahał się długo i po chwili powziął postanowienie.

— Panie żołnierzu — rzekł do jadącego przy bryczce konno austrjackiego kawalerzysty.

— A co tam?...

— Panu jakoś dobrze z oczów patrzy... pan musisz być poczciwy człowiek.

— At, zwyczajnie jak człowiek, ani lepszy ani gorszy jak drudzy.

— Wie pan co, ja tu mam przy sobie piętnaście rubli.

— Cieszy mnie to... przydadzą się w fortecy... nie będziesz musiał poprzestawać na samym komisbrodzie.

— Weź pan sobie te pieniądze.

— Po co?...

— Ja chcę... — zająkał się Józef — widzisz pan ja muszę, ja koniecznie muszę...

— Co muszę?...

— Uciec... ja nie mogę być internowany.

— A to mi się podoba! — rozśmiał się żołnierz — chce uciekać i opowiada mi się!... Ależ ja ci powiadam, kochanku, że choćbyś miał najzdrowsze wszystkie nogi i ręce to nie uciekniesz póki ja patrzę, a cóż dopiero ranny! Gdybym ja nie widział, to co innego...

— To też ja nie myślę uciekać jak pan będziesz patrzył, proszę pana tylko, żebyś pan...

— Żebym co?

— Żebyś pan wziął te piętnaście rubli.

— *Noch einmal diese fünfzehn Rubel!* — wzruszył ramionami kawalerzysta — po cóż ja mam je brać?...

— Żeby mi nie ciężyły w drodze.

— *So ist es!* — pomruknął żołnierz — ależ to jabym tobie ułatwił ucieczkę, *mein liebster*, a mnie tego zrobić nie wolno. Jeżeli nie udźwigniesz swoich pieniędzy, to tem pewniejszy jestem, że nie uciekniesz, a gdybyś uciekł z niemi to mi nikt nie zarzuci, żem ci dopomógł. Ale nie mam czasu dłużej tu gadać z tobą. *Schlaf wohl, Kamrat. Ich reite weiter, aber du darfst nicht fliehen, es ist streng verboten, verstehst du?*

Spiął konia ostrogą i pojechał naprzód. Miejsce było do ucieczki dogodne. Józef nie namyślał się długo zeskoczył z bryczki i skrył się w krzaku.

Karawana pociągnęła — nikt go nie spostrzegł.

Po chwili był już w drodze napowrót. Idąc myślał:

— Czemu ten żołnierz nie chciał odemnie wziąć pieniędzy... Moskal nie zrobiłby nigdy nic podobnego bez łapówki. Ten się narażał darmo... Szlachetny człowiek!

Żołnierzysko w istocie był poczciwym człowiekiem, że rannego z rubli nie obrał, bo mógłby je był wziąć i nikt by o tem nigdy nie wiedział, ale Józef przeceniał oddaną sobie przysługę sądząc, że tym sposobem ten który mu ułatwił ucieczkę narażał się na odpowiedzialność. Była to chwila w której na takie rzeczy patrzano przez szpary. Rozbrajano insurgentów, bo tak wypadało, internowano ich, bo tak wypadało także, ale gdy który mniejszego znaczenia uciekł w drodze albo z fortecy, to sobie nad tem wcale nie łamano głowy. Uciekł, to i uciekł, potrzeba będzie karmić komisbrodem jednego mniej i mniej papierowych dziesięciocentówek na żołd dla internowanego wydawać.

To też nietrudno było Józefowi dotrzeć do granicy i nietrudno przemknąć się przez nią.

Nietrudno ale tylko ze względu na brak przeszkód stawianych z zewnątrz, nietrudno ale tylko dla tego, że mu nikt drogi nie zastępował.

To co mu utrudniało pochód znajdowało się w nim samym i pozbyć się tego nie mógł. Była to rana. Chociaż opatrzona sprawiała mu ona szalony ból. Panował nad nim siłą woli, postanowił bądź co bądź dopiąć celu, ale od czasu do czasu natura brała górę nad energją, słabł chwilowo, z piersi jego wydobywał się jęk stłumiony, a na ustach mimowolnie pojawiało się półgłosem wyszeptane pytanie:

— Mój Boże! czy ja tak zajdę?...

Niczego już więcej w życiu nie pragnął, tylko zajść tam gdzie chciał.

Ażeby zajść potrzeba było nietylko iść, potrzeba było nieraz zbaczać, nakładać drogi, żeby nie wpaść w oczy niepotrzebnie takim którzyby mogli mu powiedzieć:

— Nie pójdziesz dalej!

Niektóre szkoły filozoficzne zaprzeczają człowiekowi woli wolnej, tymczasem faktem jest, że w takich okolicznościach w jakich się znajdował wnuk Mortka, silna wola nawet naturę przezwycięża.

Ten słaby, wątły, osłabiony upływem krwi, prawie umierający chłopiec, dokonywał tej nocy herkulicznego dzieła, jedynie dlatego, że tego chciał. Filozofowie owych szkół mogą nam odpowiedzieć, że chciał tego, bo nie mógł nie chcieć, bo to była konieczność, która z natury jego położenia wypływała. Był ranny w rękę więc cierpiał, ale zarazem kochał i miłość jego była silniejszą niż uczucie bolu, dlatego szedł. Może to jest objaśnienie wystarczające chociaż nas niezupełnie zaspokaja, bo zdaje nam się, że gdyby uczucie miłości było tylko organicznym, fizjologicznym popędem, toby musiało słabnąć pod wpływem każdej przyczyny, która na ten organizm działa zabójczo, która go rozstraja i na pierwiastki rozkłada, gdy w Józefie uczucie to potęgowało się właśnie, aż do zapanowania nad tą siłą, która rozkładała i niszczyła jego organizm — ale nie myślimy wchodzić tutaj w polemikę z filozofami, konstatujemy tylko fakt, że wysilenia, jakie czynił Józef, ażeby dopiąć swego zamiaru, były ze względu na stan jego rany, — nie wahamy się użyć tego wyrażenia — prawie nadludzkie.

Gdyby w linję prostą rozwinąć drogę, którą przebył tej nocy i gdyby ją na wiorsty lub kilometry wymierzyć, niktby nie uwierzył w wypadłą cyfrę.

I zdawało mu się już że zamiaru swego nie dopnie. Upadał prawie z wycieńczenia, ale nie chciał spocząć na chwilę.

— Jeżeli spocznę, umrę, — mówił do siebie — a jeśli umrę wszystko będzie stracone... W takiem razie Boże Abrahama poślij do niej anioła, z tą wiadomością, z którą mnie posyłasz... Ale wytrwam do końca... Choćbym wiedział że już kilka kroków tylko ujść mogę... ujdę je...

I szedł. Szedł aż do ranka. Rano ujrzał na skraju widnokręgu wieżę gradowieckiego kościoła, i widok jej dodał mu nowych sił.

Wiadomo że wola pod wpływem świadomości o prawdopodobieństwie dopięcia celu potężnieje niesłychanie. Objaw ten powtórzył się na Józefie. Przed chwilą sądził że już wydobywa ostatek sił, teraz wstąpiła w niego otucha i przekonanie, że gdyby tyle jeszcze trudu było do zwalczenia ile już zwalczył, jeszcze by i ten trud pokonał.

Wyprostował się, szedł rzeźwo, śmiało szybko, z pospiechem gorączkowym, chorobliwym.

Był już pod miasteczkiem, gdy w znacznej za sobą odległości usłyszał tentent konia. Zmysły jego w tym chorobliwym stanie nabrały nadzwyczajnej delikatności, obejrzał się i ujrzał galopującego jeźdźca.

— Kozak zapewne — rzekł do siebie.

Wypadało się ukryć, nie myślał jednak schodzić z drogi.

— Wprzód będę na miejscu, nim mnie dogoni, a co się potem stanie, mniejsza mi o to.

Zawiodły go wyrachowania jeździec zbliżał się coraz bardziej, ale zarazem uspokoił się, że nie ma niebezpieczeństwa. Jeźdźcem nie był żaden żołdak moskiewski, mógł już rozpoznać że to pocztyljon wiozący sztafetę.

Koń przebiegł koło niego w szybkim galopie już w samem miasteczku.

Zatrzymał się przed domem Stanisława.

— Sztafeta do niej! co to?... — zaniepokoił się biedny ranny i ostatniem wysileniem kroku przyspieszył.

Konstancja była w domu i drżącą ręką otworzyła przywiezione pismo.

Była to depesza od jej dziadka, a stały w niej słowa okropne:

„Czuję że umrę wkrótce... jestem słaby bardzo... błogosławię wam dzieci moje... gdyby czasu jeszcze starczyło prosiłbym, żebyś przyjechała, Kostusiu... lżejbym umierał...“

Wnuczka rotmistrza nie zdążyła jeszcze zdać sobie sprawy z bolesnego wrażenia, gdy Józef ukazał się na progu.

Wyglądał strasznie, chwiejący się, blady, umierający. A jednak z oczu jego świeciło szczęście i na ustach jego błąkał się uśmiech nieopisanej błogości i spokoju.

— Pan Józef!... Boże! pan raniony! — zawołała Konstancja biegnąc do niego i biorąc go rękami za ręce.

Ręce te były sztywne i zimne, aż mróz przeszedł serce kobiety.

— To nic... lekko... — szeptał wnuk Mortka gasnącym głosem, — mąż pani...

— Zabity?...

— Żyje... raniony... niezbyt ciężko...

— Gdzież jest?...

— W niewoli...

— U Moskali?...

— Nie... w austrjackiej... Żegnam cię, pani...

Z tem słowem Józef bezwładnie usunął się do nóg Konstancji.

Schyliła się aby go podnieść, ale dusza szlachetnego młodzieńca stała już przed Bogiem jego ojców, przed Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakóba. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W kościele farnym, którego drzwi główne były na oścież otwarte, klęczała Basia u stopni ołtarza, a przed nią stał poważny staruszek, ksiądz kustosz. Biedne dziewczę utonęło całą duszą w modłach do Najwyższego... Wnuka Janusza czuła się bardzo nieszczęśliwą, złamaną moralnie. Teraz wyprzysięgała się Lutra wobec Boga i jego kapłana.

W tem głuchy jęk dzwonów przeraził jej słuch. Zrywa się z miejsca i patrzy — krwawy blask pożaru bił w okna świątyni. „Gore?“ zapytała. Ksiądz nie dał odpowiedzi, lecz ukląkłszy, rzekł jakby do siebie uroczyście:

Dzień sądu... i lud mój zbawiony!

Jakieś złowrogie przeczucie ogarnęło Basię — wybiegła z kościoła. W mieście wrzał bój. Instynktem wiedziona, mimo walczących, biegnie wciąż w obranym kierunku.

Sercem przeczuwa, sercem wieści chwyta,
Wie, gdzie jej Oskar, i wie, że on żyje —
Żyć musi, bo jej serce dotąd bije;
Zmilkłoby, gdyby on padł!... „Paść nie może,
Pokąd ja przy nim głowy nie położę!...“

Zatrzymała się przy kościele św. Ducha. Tu najzaciętsza toczy się walka; tu Wąsowicz właśnie co przybyły z oddziałem górali, cały w hussarskiej skrzydlatej zbroi,

Jak anioł ognia połyskuje w stali;

tu wreszcie szukają siebie najzawziętsi zapastnicy: Oskar i Bartek. Znaleźli się niebawem, stanęli naprzeciw oko w oko. Zapalczywie uderzyli na siebie; od szabli i od bardy lecą ogniste cięcia; jeden i drugi tak gorąco pragnie trupem położyć swego przeciwnika! Wszyscy prawie na tem miejscu walczący z wytężoną uwagą śledzą tych zapasów. W tem zawinął Bartek strasznem swem narzędziem z całą siłą nad głową Szweda: jeszcze jeden obrót ręki, a już ją dosięgnie... roztrzaska... Lecz nie zdołał żadnym sposobem wykonać zamierzonego ciosu; w tej chwili bowiem Basia z rozdzierającym krzykiem

. . . . . . na pierś Oskarowi padła,
I topiąc w Bartku dzikie oczy swoje
Na hełm Oskara rąk złożyła dwoje...

Odstąpił cieśla, gromem oczu kochanki przerażony; ale wnet drudzy rzucili się na Szweda, który już słabo się bronił. Bartek dla drogiej Basi radby był teraz nawet wroga uratować, więc krzyknął na mieszczan:

Stójcie! on jutro będzie katolikiem
Dla niej — ja ręczę!...

W tym jednak momencie z rusznicy Stacha Krawczyka padł strzał... Oskar ugodzony w samo serce zachwiał się i powalił na ziemię. Wnuka Janusza w niemem przerażeniu w lubego krew

. . . . . . wpatrzyła się blada,
Sama przy trupa piersiach cicho siada,
Padła... tak kosą ścięta lilia pada...

Porwał ją Bartek w swe ramiona, myśląc, że omdlała; ale Basia nie omdlała — biedne dziewczę nie żyło już!... Ból wielki ścisnął piersi nieszczęśliwego, stał się nieczuły, skamieniał prawie. Wrócił jednak szybko do przytomności, oddał martwą Basię Januszowi, a sam jak lew raniony rzucił się w dalszy bój.

Nie długo już trwała zajadła walka, w której „nikt nie prosił i nikt nie dawał pardonu.“ Najezdnik, pragnący krwi ciemiężonych, zbiegiem dziwnych dłoń i zgoła nieprzywidzianych okoliczności skąpał się we krwi własnej. Nieprzyjacielską załogę w pień wycięli mieszkańcy Sącza; a gdy po dokonanem dziele winszowano sobie wzajemnie odniesionego świetnie zwycięstwa, wówczas oczy wszystkich zwróciły się na bohatyra tej wielkiej chwili;

„Górą Bartłomiej!“ wszyscy zawołali,
I trzykroć w górę oręże podnieśli,
Wołając: „Górą sławna barda cieśli!“

Taki jest koniec dramatu, który się odegrał w murach podkarpackiego miasteczka. Nie tu jednak jeszcze ostateczne rozwiązanie naszej powieści. Następuje epilog, w ekonomji poematu podwójnie ważny; bo i tok całego opowiadania harmonijnie zaokrąglający i zarazem także uwydatniający wyższy zamiar poety w tej jego twórczej pracy.

Jesteśmy w skromnej izbie ciesielskiej. Porankowe słońce rzuciło właśnie jasne blaski na jej ściany, a Bartek zajęty był żywo robotą trumny dla swej Basi, która w niej na zawsze spocząć miała. Choć wielce przygnębiony w duszy, spokojną miał twarz; i tylko we wzroku jego od czasu do czasu dziko błyskającym, można było wyczytać, że

Okropne piekło jeszcze w sobie chowa,
A nad niem pamięć jak lampa grobowa!...

Ta pamięć nieszczęścia, sroga jak piekielne katusze, a w obecnem jego położeniu podwójnie dotkliwa i niczem zgoła zatłumić się nie dająca, stawała teraz przed nim ciągle niby straszna upiorzyca i sączyła kroplami coraz to nowe bole do cierpiącej piersi. Potykał się mężnie w tych ciężkich zapasach z sercem i pamięcią; ale walka moralna w obecności przedmiotu, który ją podsycał, stawała się coraz trudniejszą, a zachowanie równowagi umysłu i uczucia prawie niepodobnem. Toż kiedy przybytek śmierci w całej swej nagiej grozie urósł pod jego ręką,

.........przeklął dzień rzemiosła,
Pierś mu się ciężkiem westchnieniem podniosła:
„O! chciałem — rzecze — inny dom postawić;
Ha! lecz Bóg nie chciał ręce błogosławić,
I stał się, Basiu, ze mnie cieśla lichy,
I wyciosałem — ot ten domek cichy.“...

Niewysłowiona boleść roztopiła się wreszcie w gorzkie łzy...

Spłakał, serce mu czarną krwią nabrzękło,
Tłukło się dziko o pierś — lecz nie pękło....

Niebawem ukończył smutne dzieło,

.......kredą znak na desce zrobił,
Wziął dłuto i wierzch krzyżem przyozdobił...

Przytoczona tutaj scena ukazuje się w poemacie naszym w rysach wykończonych, świadczących o głębokiem i trafnem pojęciu usposobienia duszy ludzkiej w podobnych okolicznościach.

W chwili, o której mowa, weszli do izby Janusz, Jacek, Oleksowicz i kilku innych mieszczan. Poczęła się rozmowa o najświeższych wypadkach — ale Bartek nie mięszał się do niej; był ponury i przygnębiony. Wtem przybył Trela i doniósł, że już „dla panny Basi grób gotowy.“ Na te słowa drgnął cieśla na całem ciele, czując, że w tej świeżej mogile, która dla kochanki jego się otwarła, z nią razem i jego własne szczęście na zawsze pogrzebane....

Przecież nie wszystko jeszcze na tym świecie utracił! Prawda, że cios który weń uderzył, był ciężki, okropny; ale w życiu swojem choć odtąd smutnem, miał przecież jeszcze coś do zdobycia. Przed duszą nieszczęśliwego stanęła pamięć wielkiej sprawy, której już oto wczoraj dobrze usłużył; wołała nań głośno powinność dalszego poświęcenia się ojczyźnie, która obecnie bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała dzielnego ramienia wszystkich synów swoich. Toż kiedy Jacek wesoło począł głosić wieści, że

.....nasz Czarniecki Podgórze już rzucił,
I z hussarzami w Lubelskie zawrócił;

ujrzał Bartek w tych zdarzeniach niewątpliwą zapowiedź lepszej dla kraju przyszłości;

„Więc za nim!“.... zawołał do młodzi,
„Za nim! — nad Polską nowe słońce wschodzi!“...

Tu już koniec poematu. Czytelnik, zadowolony zupełnie tak z charakteru i przebiegu zdarzeń, jak nie mniej z ich rozwiązania, mógłby chyba tylko co do jednego punktu mieć pewne wątpliwości — a mianowicie czy Basia, tak jak ją widzimy w naszym utworze, kwalifikuje się na pierwszorzędną bohatyrkę. Możeż nią być dziewczę, miłujące wroga aż do ostatniej kropli krwi, aż do ostatniego tchnienia, a zwłaszcza w obec takich wypadków?.... Na to pytanie mimo woli przyjdzie niejednemu na myśl postać Grażyny, a z nią razem łatwo i wniosek się nasunie, iż ze względu na stosunki polityczne, śród których cała akcja naszego opowiadania się rozwija, raczej tylko typ takiej niewiasty jak Litawora żona, okazywałby na sobie cechy prawdziwej bohatyrskości. (C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Rozmowa przybrała ton poufalszy. Prowincjał wypytywał o różne szczegóły mojej wycieczki do źródeł rzeki Myet-Nghy. Odpowiadając kładłem główny nacisk na korzyści, jakieby można osiągnąć z produktów krajowych w drodze handlu, przyczem wplątałem niektóre wydarzenia

z podróży. Kwestję polowań przemilczałem umyślnie, albowiem w pobliżu klasztorów nikt nie poluje i byłoby uchybieniem, mącić spokój zakonu strzałami w obrębie kyoungu. Prowincjał jednak, mimo pozornej dobroduszności, miał wiele sprytu i odgadł względy jakie mię powstrzymują.

— Pan mi nie o wszystkim mówisz; jako namiętny myśliwy, nie podobna byś nie polował w dobrach Ouonducka. Niestety, tej przyjemności nie możesz pan mieć u nas, dla tego sądzę, że pobyt w kyoungu musi ci się wydawać monotonnym.

— Wyższe względy skłoniły mię do przyjazdu w te strony, jestem szczęśliwy żem im uległ.

— Dziękuję ci przyjacielu — rzekł prowincjał ściskając mnie za rękę — im lepiej cię poznaję, tem więcej cenię. Posiadasz porywającą serdeczność, jakiej zimni Anglicy mimo swej grzeczności wcale nie mają.

— Zarzucają nam Francuzom lekkomyślność i może nawet słusznie, ale za to nie można nam odmówić szczerości, nawet....

— Dobrego serca — wtrącił prowincjał kończąc z naciskiem rozpoczęte zdanie.

— Pochlebiasz mi Phra.

— Nie udawaj pan skromnego, kiedy taka była myśl twoja, inaczej byłbyś nie szczery. Ale nic nam pan nie mówisz o dzisiejszym spacerze, jakże znajdujesz naszą okolicę? klasztor?

— Cudowne!... co za perspektywa, jak umiejętnie obmyślane efekta! poczucie sztuki rywalizujące z darami natury. W rzeczy samej Birmanie są wielkimi poetami i artystami. Bóg głęboko wyrył wiarę w ich duszy i wlał uczucie piękna. Klasztor zakonnic jest czarujący.

— Ach, pan aż tam zaszedłeś — rzekł obojętnie prowincjał, który był już zapewne uwiadomiony o tym szczególe i w przelocie rzucił spojrzenie na młodego księdza.

Wikarjusz zbladł mocniej, pozostał jednak nieruchomy; ja ciągnąłem dalej.

— Chciałem bliżej obejrzeć to piękne ustronie, i złożyć ofiarę pobożnym niewiastom, ale mój przewodnik wstrzymał mię u samego mostu, oznajmiając przepisy jakie istnieją w tym względzie. Przez poszanowanie dla reguły, i wziąwszy za zasadę nigdy nie postępować wbrew opinji i przyjętym zwyczajom, zaniechałem zamiaru, chociaż wyznam szczerze nie bez przykrości.

— Przewodnik dopełnił swego obowiązku. Jednakże — rzekł prowincjał z uśmiechem na pół złośliwym — będąc przekonanym, że ofiarność przeważała u pana uczucie ciekawości, może namyśliwszy się będę mógł pogodzić regułę klasztorną z pańskiem życzeniem.... Zresztą zobaczymy...

W rogu sali stał Józef; skinieniem przywołałem go do siebie dając po cichu zlecenie.

— Jakto panie? — zawołał odskakując z niezadowoleniem.

— Rób co ci każę, a nie to polecę Longlemu, który będzie posłuszniejszym od ciebie.

Józef ze spuszczoną głową wyszedł z sali zabrawszy z sobą kilka sług klasztornych.

— Nie myliłeś się szanowny Phra w swych domysłach — ozwałem się znowu do prowincjała — posądzając mnie o oddawanie się rozrywkom polowania w posiadłościach Ouonducka. Rzeczywiście miałem sposobność ubicia kilku ładnych okazów, i prawdziwą uczuję przyjemność, jeżeli je odemnie przyjmiesz łaskawy ojcze.

— Na to się nie zgodzę... wiem ile wy, panowie myśliwi przywiązujecie wartości do podobnych zdobyczy, bym cię pozbawiał tak dla ciebie cennych przedmiotów.

— Mają one dla mnie o tyle wartości o ile mogą wam być miłe. Podróżnik zbłąkany odrzucony od celu, do którego dążyłem, nie wiem dobrze, gdzie jutro mogę się znaleść... Projekta, które mnie tu sprowadziły rozsypały się w niwec, wpadłem w niełaskę u waszego cesarza, i prawdopodobnie odpłynę niedługo do Europy. Byłoby dziwactwem z mej strony obciążać się rzeczami trudnemi i kosztownemi do przewożenia.

Na to weszli ludzie, obładowani każdy częścią skór z panter i danieli, Józef na przedzie z miną niezadowoloną niósł róg rynocerosa, a Longle pióra rzadkich ptaków. Niespodziewano się takiego wystąpienia, i zdziwienie było wielkie, gdy cała moja zdobycz została rozłożona na stole. Prowincjał zabrał głos i rzekł z namaszczeniem:

— Nie narzekaj Booghuy na tajemnicze związki wypadków życia, które mogą jeszcze wyjść na twoje dobro; czemu nie mieć raczej nadziei, że usposobienie Yasy względem ciebie się odmieni? Nam, przedstawicielom wyznania, które możesz mieć w poważaniu, ale które zawsze nie jest twojem, dajesz książęcy podarunek, nie lepiej byłoby zachować go dla cesarza, a kto wie, czy właśnie to nie wpłynęłoby skutecznie na twoje interesa?

— Sprawa, którą przedstawiam, powinna być wyższą nad względy osobiste, i nie chciałbym temi drogami dojść do celu. Wielką mi wyrządzasz Phra krzywdę odrzucając moją skromną ofiarę.

— Hola, hola! nie rozpaczaj tak prędko dumny i nieugięty Francuzie! i któż ci mówi, że dar twój odrzucę? — odparł żartobliwie prowincjał — przyjmuję, ale z pewnem zastrzeżeniem.

— Z jakiem?

— Reguła klasztorna nie pozwala nam posiadać przedmiotów pochodzących z samic, a między twemi darami Booghuy widzę skórę z łani, futro czarnej pantery i pióra z bażantów *chantche* i *tchou-ki*, których nie mógłbym zatrzymać dla siebie, ale mogę cię upoważnić — jeżeli zgodzisz się na to — że je złożysz w darze zakonnicom; reszta pozostanie u mnie.

— Przychylam się z całego serca do twoich rozporządzeń Phra — odrzekłem.

— Gdyśmy więc załatwili tę kwestję, przystąpmy teraz do ułożenia programu, podług którego będziesz zwidzał nasz zakład. Pojutrze rozpoczną się ceremonje religijne, którym chcesz się przypatrzyć, a do tego czasu pozostaje ci cały dzień na obejrzenie wewnątrz klasztoru, parku, stawów, ogrodów, roślin rzadkich i niektórych okazów pierwotnych gatunków zwierząt, a przedewszystkiem już rano możesz pan udać się do klasztoru zakonnic. Uwiadomię o twojem przybyciu Tsayę Kyoungu, żeby cię tam zaprowadził. Ach prawda.... zapomniałem! Tsaya nie będzie ci mógł służyć, jest bowiem zajęty przygotowywaniem nowiciuszów, mających przystąpić do wyświęcenia.

Prowincjał rzucił mi ukradkiem spojrzenie, i zdawał się niby namyślać; potem zwróciwszy się do wikarjusza odezwał się tonem naturalnym:

— Możeby nasz Cambua Tsaya zechciał towarzyszyć memu przyjacielowi do Kyoungu zakonnic?

— Jestem gotów wykonać twoje rozkazy Phra — odpowiedział głosem, w którym przebijało wzruszenie wywołane tak niespodziewaną propozycją.

— A teraz pozwól pan, że cię pożegnam — rzekł staruszek wstając od stołu.

— Tyle łaskawości wzrusza mię niewymownie i chciałbym choć małą rzeczą wywdzięczyć się za dowody uprzejmości; pozwól szanowny Phra, kiedy system twej kuracji wymaga posilnej żywności, by mój kucharz przyrządził ci śniadanie.

— Przyjacielu, przyjacielu, prowadzisz mię na pokusę! — Z temi słowy zbliżył się do mnie, a szepnąwszy do ucha: — Widzisz jak sprzyjam twoim życzeniom, — ścisnął mię za rękę i rozeszliśmy się na spoczynek.

Na drugi dzień zaledwie skończyłem śniadanie, Cambua Tsaya przysłał z oznajmieniem, że jest gotów. Wyszedłem. Czekał na mnie przy głównych schodach; opodal stał Longle z kilkoma służącymi niosąc ostrożnie podarunki przeznaczone dla zakonnic. Uścisnąłem na powitanie dłoń wikarjusza, i słowa nie wyrzekłszy puściliśmy się w drogę.

Towarzysz mój był nadzwyczaj blady; chód jego nierówny i tłumione westchnienia zdradzały aż nadto walkę wewnętrzną; snać nie przygotował się na taką próbę. Drogie pamiątki przeszłości, owiane urokiem budzącej się miłości, snem szczęścia wymarzonego w przyszłości, wyrwane siłą woli z serca i zastąpione wyidealizowanym mistycyzmem, odżyły na nowo wywołane niespodziewanym wypadkiem, i jak rozpalona lawa usiłowały rozerwać wszelkie więzy. A jednak, jak silną musiała być wiara w tym człowieku, co za wyrzeczenie się samego siebie i wygórowane poczucie obowiązku, kiedy zapanował nad porywem serca i zwalczył roznieconą miłość. Wzrok jego rzucał chwilami iskry, ale był tak stanowczy, zaciśnięte zaś usta wyrażały tyle niezłomnej woli, żem nie mógł wątpić o jego zwycięstwie.

Nie zamieniwszy jednego słowa, doszliśmy do mostu. W tem miejscu ujrzałem na chwilę słabnącą jego wolę; zachwiał się, ale jednocześnie prawie zbierając siły, pewnym krokiem minął wąskie przejście. Stanęliśmy u pierwszych wrót. Ludzie Tsaya-dauh wymienili tytuły mego przewodnika, brama rozwarła się przed nami, poczem weszliśmy na dość rozległy dziedziniec, starannie utrzymany, którego zielone gazony, kląby drzew i rabaty pełne kwiatów miłe robiły wrażenie. U drugiej bramy czekaliśmy nieco dłużej; od dawna nikt oprócz dyrektora zakonnic i prowincjała nie przestąpił tych progów; nakoniec kilka sióstr przyszło odebrać przyniesione prezenta i ludzie zostali odprowadzeni do pierwszych wrót, a nam furtianka otworzyła bramę wprowadzając na dziedziniec różny od poprzedniego. Nic tu nie było prócz pustej przestrzeni; wprost nas wznosiła się fasada w poważnym stylu, a drzwi zakreślone w łuk kończasty ozdobione były w liście i gałęzie snycerskiej roboty. Trzymano nas przeszło pięć minut przed tem ostatniem wnijściem, poczem stara jakaś siostra poprosiła nas do środka. Usunąłem się na bok chcąc dać pierwszeństwo memu towarzyszowi, on odmówił stanowczo; wszedłem więc pierwszy; ksiądz zatrzymał się u samego progu w głębokiem skupieniu ducha.

Byłem w ciemnym przysionku; przedemną znajdowała się krata oddzielająca nawę od miejsca, w którem stałem; zasłona zaciągnięta tamowała widok. Po kilku minutach oczekiwania zasłonę rozsunięto i wpatrzywszy się w podłużne koła kraty mogłem pomału zdać sobie sprawę z tego co miałem przed oczyma.

W sali dość obszernej dwanaście stal przypartych do muru tworzyły tło, przedzielone wynioślejszem siedzeniem z oparciem i poręczami, po nad którem rzeźba z drzewa rozchodząc się w promieniach złoconych ozdobiona długiemi piórami „bażanta-dziewicy," tworzyła rodzaj baldachinu po nad głową przełożonej. W samym środku sali ze 100 dziewcząt od 8 do 10 lat obrócone plecami do kraty siedziały na piętach; były to pensionarki, dzieci zamożnych rodziców, przysyłane na naukę czytania i pisania. Za niemi, ale już na ławkach siedziała taż sama prawie liczba nowiciuszek od 12 do 18 lat, a po nad temiż w rzędzie wyższych siedzeń znajdowały się zakonnice mające za plecami siostry przydzielone do służby klasztornej. W tym porządku przełożona i starsze godnością zakonnice miały na oku całe zgromadzenie, jakoteż okno zakratowane, po za którem jednak nie wiele mogły dojrzeć z powodu oddalenia, gdy natomiast ja dokładnie się wszystkiemu przypatrywałem. Strój ich był jednakowy barwą i krojem; przełożona tylko zamiast bawełnianej szaty nosiła na znak wiecznej żałoby tkaninę jedwabną bardzo pospolitą w tych stronach. Głowy miały pogolone; sandały z żółtej skóry z podeszwami drewnianemi, a żółte suknie były najprostszego kroju podobne do koszul damskich, z paskiem skórzanym, u którego wisiał niezbędny różaniec. Welon długi a wąski spadał z przodu i jednym końcem okręcał stan, drugim owijał się w około szyi i piersi, służąc do zasłonięcia całej twarzy z wyjątkiem oczów, ilekroć zakonnice są zmuszone wyjść po kweście na miasto. Jedną z oznak godności przełożonej był wachlarz podłużny, pleciony z liści palmowych i ujęty w oprawę z drzewa, z rączką wygiętą w kształt litery S. Wachlarze nowiciuszek były czworograniaste z prostem ujęciem. W Mandelay nie raz zdarzało mi się spotykać zakonnice, zakwefione po same oczy; teraz miałem nadzieję ujrzeć je bez zasłon, lecz jakiż był mój zawód, gdym zobaczył około 400 kobiet, jak siedziały obrócone plecami przez cały ciąg mojej wizyty, a przełożonę i starsze siostry owinięte starannie welonem. Najgłębsza cisza panowała między niemi i żadna przez pół godziny nie zrobiła najmniejszego poruszenia. Przełożona tylko odsunęła trochę fałdów zasłony od ust, by lepiej być zrozumianą i odezwała się głosem słodkim, a nad wyraz wdzięcznym i śpiewnym.

— Czy jest tu dobroczynny cudzoziemiec?

— Jestem szanowna przełożono! — odrzekłem opierając twarz o kratę.

— Obejrzałyśmy uważnie dary przez ciebie Booghuy złożone, i ponieważ nie zawierają rzeczy wzbronionych nam przez regułę zakonu, przyjmujemy je z wdzięcznością. W wyborze ich dostrzegłyśmy przewodniczące uczucie delikatności, za które dziękujemy ci słowem i myślą. Niechaj Ten co jest źródłem dobrego, zwróci ci stokrotnie ich wartość.

— Niestety dar mój jest nie wielki i nie godny tak wysokiej cnoty — odrzekłem. — Przebacz mi szanowna siostra, jeżeli w mej mowie użyję czasem niewłaściwych słów do oddania moich myśli, nie jestem jeszcze biegły w birmańskim języku i boję się bym przypadkiem źle się nie wysłowił, i nie użył błędnego tytułu.

— Znając moją ułomność i niegodność, nie zasługuję na żadne tytuły, bo zamiast posiadać ducha Buddy jestem tylko grzeszną istotą, co zaś do twoich słów Booghuy te zawsze zrozumiem. Nie mógłbyś mi pan powiedzieć jak się ma nasz cesarz, następca tronu i wielki patryarcha Birmanji?

— Trzy tygodnie temu, gdym z Mandelay wyjeżdżał, byli w zupełnem zdrowiu.

— Niechaj Gautama, miłościwy zbawca, opiekuje się nimi i udziela im najdłuższego życia.

— Ja również im tego życzę, moja siostro....

— A nasz wielce pobożny i czcigodny Tsaya-dauh jak się miewa, czy jego cierpienia się umniejszyły przy twoich Booghuy staraniach i z przyzwoleniem Tego co wszystko może?

— Mam nadzieję, że nasze prośby będą wysłuchane... Stan jego o tyle się polepszył, że będzie mógł sam celebrować w dzień wyświęcenia księży.

— Całe nasze zgromadzenie będzie cię błogosławić w swych modłach, dobroczyńco... Ale, zapomniałam się spytać, dla czego Tsaya, nasz przewodnik, nie towarzyszy ci Booghuy?

— Tsaya-dauh uznał za stosowne nie odrywać go od zajęć koniecznych do jutrzejszej ceremonji i polecił mnie swojemu wikarjuszowi, Cambua-Tsayi.

— Cambua - Tsaya! — wymówiła głosem, w którym drgały wszystkie tętna zbolałej duszy, a który jak echo radośnego westchnienia obił się o moje uszy. Spojrzała w niebo z błagalnym wyrazem; po tym ruchu mimowolnym, zasłona ześliznęła się i jak mgnienie oka ukazała mi się twarz, z której rysów, ni boleść ni umartwienie nie zdołały zetrzeć uroku piękna.

Podobnie do wibracji dotkniętej struny, słowa „Cambua-Tsaya" drgały w powietrzu rozbudzając moją wyobraźnię, i wywołując przed oczy mojej duszy pochód żałobny z łez, rozpaczy i zdruzgotanych nadziei jakiemi przez lat siedem karmiła się nieszczęśliwa kobieta. Machinalnie obróciłem się... Ksiądz musiał ten głos usłyszeć i uchwycić w przelocie drżenie ukochanego tonu, ale mimo to stał nieporuszony, z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, z głową spuszczoną jak pielgrzym, co po długiej podróży stanąwszy na progu świątyni, dokąd go nęciła gorąca wiara, i olśniony blaskiem swej własnej fantazji wybujałej, upojony zachwytem szczęścia, nieśmie przestąpić progu przygnieciony majestatem przybytku, w którym znajduje się jego bóstwo.

Przełożona odzyskawszy siłę i stłumiwszy bicie serca, rzekła głosem spokojnym:

— Chociaż żyjemy w odosobnieniu, słyszałyśmy jednakże o przybyciu kolonji Francuzów pod twojem Booghuy przewodnictwem, przynoszącej nam rozpowszechnienie tych wiadomości, które zrobiły ludy Zachodu tak potężnemi. Nie jestem mędrcem i trudno mi rozstrzygać, czy szczęście narodów leży w cywilizacji, kwitnącym handlu i przemyśle, oświacie i wolności, lub czy celem ludzkości powinna być dążność wzbogacenia duszy w cnoty, które nas stawiają na równi z wybranemi. Czy nie lepiej uchylić się od nędzy świata, zerwać ziemskie więzy przyjaźni i miłości, i zatopić się w łono Buddy, poświęcić życie adoracji trzech klejnotów*), by dostąpić spokoju doczesnego i wiecznego? Nie mnie wyrokować w tej kwestji, nasze przepisy są stanowcze i przed niemi schylam czoło. Ale słyszałyśmy, że niektórzy z was przybyli tu z żonami. Wy w waszym kraju szanujecie kobiety, one prawie równych z wami używają praw, zajmują poważne stanowisko w społeczeństwie, żyją waszem życiem towarzyskiem, i złączone nierozerwalnym węzłem małżeńskim, dzielą godność i honory męża. Chciałabym ci panie dać poznać jak wysoko cenię wyznanie, które słabszą połowę rodu ludzkiego wyzwoliło z pod uciemiężenia, w jakiem azjatyckie ustawy je trzymają. Szkoda, że twoja żona Booghuy nie przybyła tu z tobą, byłybyśmy przyjęły ją z otwartem sercem, udzieliły wstępu do naszego przybytku i pokazały za wzór kobietom, które nas odwidzają. Ona nie bała się wystawić na zmienność klimatu, przebyła morza i nie ulękła się burz, nie cofnęła przed trudami, by tylko dzielić los z tobą, pielęgnować cię w słabości, cieszyć się twoją radością, smucić niepowodzeniem; serce jej zlało się z twojem sercem i po za tobą nic więcej nie widzi.... Powtórz jej moje słowa, niech się dowie jak szczerą chowam dla niej sympatję, jak cenię jej wysokie zalety. Wychodząc z tąd, wręczą ci Booghuy skromny upominek w dowód naszej przyjaźni, który będziesz łaskaw ofiarować w naszem imieniu twojej żonie. Niechaj Budda, przewódca mędrców, ten nad którym bóstwa zlały swoją potęgę, ustrzeże was od złego, udzieli łask, pomoże zwalczyć przeszkody i w końcu pozwoli dostąpić roskoszy napoju nieśmiertelności (Amrita). Bywaj zdrów — skończyłam...

Podniosła rękę, zasłona spadła, i znalazłem się w ciemności. Chwilę pozostałem w zamyśleniu pod wpływem dziwnych słów, które słyszałem. Cambua - Tsaya stał ciągle nieporuszony w tem samem miejscu, jak gdyby dla niego widzenie jeszcze nie znikło. Przechodząc trąciłem go z lekka; podniósł głowę, ręce opuścił i wyszedł za mną. U progu przysionka twarz jego przybrała zwykły wyraz. Czy człowiek stawał się księdzem, czy ksiądz automatem?...

(C. d. n.)

*) Symbol trójcy budaizmu.

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(Ciąg dalszy.)

II.

(Posłannictwo Polski. — Poeci - wieszcze. — Messjanizm w poezji. — Apoteoza Polski. — Emigracja. — Stronnictwa społeczno-polityczne. — Prądy zewnętrzne. — Pyronizm i messjanizm. — Hegel i Schelling. — Niedole prywatne emigracji.— Religja wyobraźni. — Rozbicie lutnie.)

Liczna emigracja ciągnęła na Zachód, przyjmowana wszędzie z entuzjazmem. Miasta stawiały jej łuki tryumfalne (Lipsk, Drezno), witano ją uroczystemi biesiadami (Strassburg), narody z uwielbieniem patrzyły na tych, co na sztandarze swym umieścili godło: „Za naszą i waszą wolność." Walka z despotyzmem, była w myśli wszystkich ludów, lecz jedna Polska miała odwagę podjąć ją tak śmiało i z takim

przeciwnikiem. Polacy walczyli za ludy Europy, za wolność, więc też uznano we Francji i w Niemczech, że są rycerzami wolności europejskiej. Możnaby gruby tom złożyć z tych poezji, jakie w czasie wojny i po niej, ułożone zostały na cześć Polski we wszystkich językach, nawet i w rossyjskim. Poezje te, pisma polityczne, literackie, i powódź broszur przeróżnych, wymownie świadczą, co wówczas było ogólnem narodów życzeniem, jak pojmowano stanowisko przez Polskę zajęte. Tutaj przyznały jej narody posłannictwo, jakie spełniała w obronie wolności — i jakie świeżo spełniła w obec Europy, stawiając rozwinięciem sztandaru wojennego zaporę cesarzowi Mikołajowi, biorącemu już zapęd do deptania rewolucyjnych akcyj na zachodzie.

Poczucie narodowości, tak zwana dziś „idea narodowościowa“, zaczęły silnie rozbudzać się wówczas, łącznie z prądem ku wolności. Narody poczuły, że — jak Libelt powiada — „są kreacji Bożej“, a śród tego poczucia ogólnego, odsłoniła się ku pamięci Polski, dawna jej rola strażnika Europy na kresach azjatyckich. Wspomnienie dawnych tradycji, dzisiejsze położenie, najświeższa walka i wzmiankowane okoliczności jej towarzyszące, wszystko to zdawało się przelewać teraz w dogmat historyczny, że Polacy powołani są przez Opatrzność do spełniania messjanicznego posłannictwa między narodami.

To poczucie posłannictwa narodowego, ten — jak powiadamy — dogmat messjaniczny historyzmu polskiego, coraz więcej nabierały sił żywotnych, coraz wyraźniej objawiać się poczęły w literaturze naszej. Mówiliśmy o filozofji tego kierunku poprzednio, teraz — gdy okiem powiedziemy po bibljografji poetyckiej, znajdziemy najznamienitsze arcydzieła poezji naszej, podobnemi do wieszczb proroków hebrejskich. Na zbolałe, świeżą krwią ciekące piersi narodu, składano te balsamiczne pieśni, co rozgrywały się zapowiedzią lepszej przyszłości.

Proroctwa te, wieszczenia poetów, musiały z natury swej nachylać się ku messjanizmowi, a że tenże leżał w duchu owej doby, więc tem łacniej odbywał się pochód messjanizmu przez dzieje i literaturę ówczesną.

„O! wszystkim ludom pójdziesz Polsko przodem!
— — — — — — — — — — —
......Staniesz ludu dzielny
A duchem Bożym, jak słońce płonący,
Między narody, jak morze grający.“
— — — — — — — — — — —
„Świat się urządzi Twojemi prawami,
Ty sam się zdziwisz nad władzą twych cudów,
Bo twoi wieszcze będą prorokami,
A twoja księga ewangelją ludów!
I krew się twoja Sakramentem stanie
Ludom ginącym z niewoli i głodu!
I wzniosą one po ziemi błaganie:
Przez święte Rany Polskiego Narodu
Wybaw nas Panie!
Amen.“

Tak przemawia Pol Wincenty w „Proroctwie kapłana polskiego,“ tak przemawia cała niemal ówczesna poezja polska. Rozmiary niniejszej pracy, niedozwalają nam zużyć tego olbrzymiego materjału poezji, na ton powyższy nastrojonego; nie możemy iść krok za krokiem w ślad za tem wszystkiem, co każdy dzień wówczas przynosił. Przytoczony ustęp autora „Pieśni Janusza“ wystarczy, aby dał miarę, na jakiem tle kształtowały się natchnienia, w jaki ton uderzały pieśni.

Zwrócić jeszcze musimy uwagę na dwa pisma Brodzińskiego, wypowiadające ideę Polski messjaniczną tak wyraziście, że w obec nich maleją głosy najpotężniejszych nawet poetów. W „Mowie o narodowości Polaków“ czytanej na posiedzeniu Tow. przyjaciół nauk w Warszawie 3 maja 1831, przyznaje autor Wiesława reformatorskie posłannictwo Polski pośród narodów i przypisuje jej prawo przewodnictwa w ludzkości. W piśmie „Posłanie do braci wygnańców“ wykazać usiłuje podobieństwo cierpień narodu z męczeństwem Chrystusa.

„.....albowiem całe życie narodu polskiego, wizerunkiem Chrystusa jest, który cierpiał, konał i zmartwychwstanie dla pokoju świata.“ (str. 8.)

Na modłę dziejów Polski, rozrastać się będą dzieje narodów, bo duch narodu polskiego, wstąpi w nie i nada kierunek ich życiu. Polska jest Hiobem politycznym, a jako taka będzie mieć łaskę u Boga i nagrodę. Całe to dziełko pisane sposobem biblijnym, ma być jakoby kodeksem etyki i polityki narodowej.*)

Już na tem miejscu, musimy zastrzedz messjanizmowi poezji polskiej, odrębne zupełnie stanowisko od tego kierunku, jaki później pod wpływem towiańszczyzny tu i owdzie przybrała. Uwaga ta wypływa z tego, co się na wstępie powiedziało, że messjanizmu z towiańszczyzną za jedno brać nie można. Poezja polska posiada charakter messjaniczny, lecz messjanizmu tego nie można wiązać z Towiańskim, bo na nią wcale nie wpłynął.

Dążność literatury była messjaniczną z istoty swej, lecz tej nazwy nie dawała sobie sama; dopiero rozpatrywanie się krytyki — tendecje owe: messjanicznemi nazwać, było i jest upoważnione. Powołać się tu można na Maxa Millera, który powiada, że wyraz tworzy się z pierwszego wrażenia, jakie na umysł wywiera natura przedmiotu. Literatura zaś, o której mówimy, wywiera na czytającego wrażenie, które wyrazem: messjanizm, najlepiej wysłowić się daje.

Towiańszczyzna przybrała nazwę messjanizmu, chociaż była ostatecznem jego spaczeniem. Ztąd nazwa ta, związana z towiańszczyzną, poszła w poniewierkę, wraz z tą doktryną. Wielka to różnica pojmować posłannictwo narodu, w woli Bożej, w zamiarach Opatrzności zapisane i tłumaczyć je według tego, jak się ta wola Boża w historji objawia, a uznać osobę jakąś za taką, która jak Prometeusz wykrada niebu jego tajemnice, jak Mojżesz w krzaku gorejącym, odbiera mandat bezpośrednio od Boga. Takie pojmowanie rzeczy jest według słów Libelta — „wybieżeniem wyobraźni przed rozumem, jest abnegacją rozumu.“

*) Posłanie do braci wygnańców i mowa o narodowości Polaków przez Kazimierza Brodzińskiego. Paryż 1861.

Przy tej sposobności nadmienić należy, że już w wieku 17 pojawiły się w literaturze naszej idee messjaniczne, aczkolwiek nie tak śmiało i nie tak wyraźnie. Polska zdeptana, zgnębiona najazdem, ocalona wiarą narodu religijną i patrjotyzmem, niemal jakby cudownym sposobem od zupełnego ochroniła się upadku. Ztąd też wyrobić się musiało przekonanie, że Opatrzność wyłącznie się nią zajmuje i niejako interwenjować zawsze gotowa, gdzie idzie o całość korony, złożonej na głowę Boga Rodzicy. W tym duchu napisanem jest dzieło Wespazjana Kochowskiego, pod tytułem: „*Tribut należyty wdzięcznosci, wszytkiego dobrego Dawcy Panu y Bogu albo Psalmodia Polska za dobrodzieystwa Boskie dziękuiąca. Przez iednę Nayliższą Creáturę Roku P. 1693 napisana. A do druku podána Roku Pańskiego. 1695. W drukárni Jásnej Gory Częstochowskiey.*“ — Od psalmu V począwszy, zzjmuje się autor sprawami narodowemi, a szczególniej w psalmie VII i XXVII dopatrzyć się można myśli messjanicznych.

Między messjanizmem a towiańszczyzną, ta sama zachodzi różnica, jak między III częścią „Dziadów“, a ostatnią prelekcją Mickiewicza w Kolegjum francuskiem. Dziadów część III nastraja się do tego tonu messjanicznego, również jak „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego.“ Obok nich postawićby należało: „Duch od stepu“ i inne niektóre poezje Zaleskiego, poniekąd też i Garczyńskiego „Wacława dzieje.“ Najpotężniej uderzył w proroczą harfę Krasiński. „Co zapowiada Królikowskiego królestwo Boże na ziemi, mające być zaprowadzone przez Polskę, to wieszczem przeczuciem, w cudnym utworze wyobraźni opiewa poeta.“*)

„.......i widziano
Śród narodów Polski marę
Zstępnjącą w grób na trzy dni!
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano!“
— — — — — — — — — — —
„Wyjdzie ludów lud jedyny.
— — — — — — — — — — —
„Wszystkie, wszystkie Duchy — ludy
Pochyliły przed nią czoła“
„...........przyklękną;
W niej uznały Boże piękno
Dadzą jej świata koronę.“

(Przedświt)

Cała prawie poezja Krasińskiego, splata się z takich obrazów. Wszystkie one zmierzają do jednego celu i z jednego wychodzą źródła. Celem ich: wskazanie dróg i kierunków, jakiemi naród posłannictwo ma spełniać swoje dla siebie i człowieczeństwa; źródłem: wiara głęboka w tę missję narodu.

Polska przedstawia się w Krasińskim, jakby wybrany przez Boga naród, ku odkupieniu ludzkości przez męczeństwo, jak owe Syna Bożego na Golgocie; ztąd też i ta myśl wszędzie w nim widnieje, że przez śmierć i męki teraźniejszości, przyszłość się tworzy, że świat w nową brzemienny ideę, w bolach i cierpieniach ją rodzi. A idea ta, to: uchrześcijańszczenie społeczeństw, sprawiedliwość, miłość, wolność, braterstwo ludzkości. Dążeniem poety jest „religię nowego przymierza uspołecznić, politykę rządów zrobić chrześcijańską i zbliżyć królestwo niebieskie na ziemi“*) Polska zaś występuje tu jako punkt środkowy, jako wcielenie się tej idei najpierwsze, okupujące jej rozrost, jej zwycięstwo męczeństwem politycznem, jak przed 18 wiekami idea chrześcijaństwa rozrosła się i zwyciężyła męczeństwem Syna Bożego.

Czy taka apoteoza przeznaczeń Polski i jej historji, dodatnio na sprawy nasze oddziałała, to o tyle tylko zaznaczymy później, o ile rzecz sama wymagać będzie. Ścisły rozbiór tego wszystkiego, byłby wielce pożądanym dziś właśnie, skoro w kierunku wprost przeciwnym co raz śmielsze podnoszą się głosy i najopaczniej tłumacząc owe chwile gorącego nastroju ducha w Europie całej, a więc i pośród polskiej emigracji i śród polskiego narodu, przymierzają je do dzisiejszych tu i owdzie pojawiających się wyobrażeń, nie pomnąc, iż na nie teraźniejszość nie godzi się cała — i sądu przyszłości względem nich, wyrozumieć dziś jeszcze nie można. Apoteoza Polski wyrosła z ducha czasu, a bądź

*) Libelt. Samowładztwo rozumu i objawy filozofji sławiańskiej str. 210.

*) Libelt. Samowładz. roz. i objawy fil. słow.

co bądź szlachetniejsze to były owe: choćby egsaltacje, niż dzisiejsze niewytłumaczone niczem sromanie się przeszłości. Słowa niniejsze cisną się pod pióro, w obec otwartych kart „Przeglądu polskiego,“ na których znalazła się dyskussja nad ogólnie zdementowaną pracą prof. Walewskiego.

Co do samej myśli messjanicznej płynącej „nabijaną światłem drogą“ przez literaturę polską, posłużymy się jeszcze słowami Libelta, któregośmy już tyle razy na poparcie naszej sprawy przywiedli. „W samej myśli posłannictwa — powiada autor objawów filozofji słowiańskiej — nie ma nic zdrożnego przeciw rozumowi. Nie ulega wątpliwości, że narody na ziemi nie są bez celu, że ich charakter, usposobienia, ich żywot, nie do samego przypadku należą; że te wojny ludów z ludami, te walki stronnictw wśród narodu samego, to rozwijanie się stosunków społecznych; — że to wszystko nie jest na to, aby było zabawą dla Opatrzności, jak jest dla ludzi zabawą walka byków,[1] lub kogutów, albo li widowiska sceniczne. Trzeba więc przyjąć, że te różne narodowości spełniają cel jakiś, a tem samem, że odebrały missję spełnienia tego celu.“ Na innem miejscu (*O miłości ojczyzny*) powiada tenże filozof, że „tym tylko sposobem narody pojedyncze nabiorą znaczenia wedle prac i zasług swoich, gdy te prace i zasługi, mierzyć będziemy missją od Boga im daną.“ Polska ówczesna uważała swą pracę dziejową i swe zasługi, zupełnie według missji swej wykonane. A to, co Cieszkowski w prolegomenach swoich powiada, że narody stanąć powinne na stanowisku, na którem dotąd nie stały, tj. na stanowisku samowiednej woli ducha, stało się godłem tendencyj polskich.

Wszyskie te pojęcia o tak rozumianem posłannictwie narodu, bądź to w literaturze tryskające z natchnienia poetów, bądź też cisnące się w rachuby polityczne — wstrząsały emigracją, mniej dostępne krajowi, przygniecionemu bagnetem, strzeżonemu bacznie. W kraju cisza była grobowa, z wyjątkiem dzielnicy pod rządem pruskim, gdzie stosunki były dla nas cokolwiek łaskawsze i jakie takie czucie z ruchem literatury, na emigracji się rozwijającej, utrzymywać dozwalały. Tętno życia narodowego przeniosło się w emigrację, ona stała się sercem jego i błądziła jak serce, gdy je boleść przygniecie. Uważała się ona za jedynego przedstawiciela i duchowego naczelnika narodu, wzięła sobie za zadanie przedkładać prawa narodu przed sąd narodów europejskich i bronić ich, gdy w kraju bronić się nie mogły. Unosiła z kraju Lary i Penaty, lecz w ślad za nią gorycz przebytych nieszczęść, widmo upadłych wysileń, pędziły jak Eumenidy. Zalewie resztki wojska polskiego skupiły się we Francji, obudziły się waśnie, starcia zasad, które w normalnem narodu położeniu, na mownicy parlamentarnej, wykrzesują elektryczne iskry życia — ale ścieśnione w życiu tułaczem, zasycane obcym zupełnie materjałem, musiały stać się nieszczęściem. Utworzyły się natychmiast stronnictwa w emigracji, na kształt tych, jakie istniały we Francji, jakie wreszcie dzieliły całą Europę. Były to stronnictwa: arystokratyczne, demokratyczne i mięszane, występujące później pod nazwą: zjednoczenia.

(C. d. n.)

Z WYCIECZKI JESIENNEJ.

Szumią lasy cieniste, milczące,
W barw jesiennych przybrane tysiące;
Różnowzore jak perskie kobierce;
A z ich szumem cudownie się splata
Spiew, co z głębi gęstwiny dolata —
Spiew tak smutny, aż chwyta za serce!

Zkądże spiew ten o tak rannej porze?
Czy rusałka w zaklętem jeziorze
Dźwiękiem harfy rozbudziła szklanne!
Albo może pokutne to duchy
Z jękiem ciężkie wstrząsając łańcuchy
Płyną, we mgły owite poranne?

Ale czemuż przy drodze tam siada
Smutnych kobiet i dzieci gromada,
A na wozie, co drogą się toczy,
Młody chłopak patrząc na nich — tuli
Twarz pobladłą w rękawie koszuli,
Załzawione ocierając oczy?

Schylił głowę jasnem włosem strojną
Na pierś burzą uczuć niespokojną,
Którą ciężkie miotają westchnienia;
Całą duszą zda się pieśni słucha:
Posłuchajmyż szeptów jego ducha,
Posłuchajmy jego dumań brzmienia.

—„ Hej, mój Boże! jak spiew ten zasmuca,
Jak boleśnie temu co porzuca
Swą zagrodę, w świat rozkazem gnany!
Jakże trudno tęsknotę odegnać
Jakże ciężko rodzinę pożegnać
I domowy kątek ukochany.“

„Rzucić wzystko co drogie i miłe,
Aby błądzić wleczony przez siłę
Gdzieś po obcej, po niemiłej ziemi!
Oddechając niewolą i męką,
Och! i często uzbrojoną ręką
Siejąc mordy pomiędzy swojemi!“

„Gdy tymczasem w samotnej zagrodzie,
Opuszczona o głodzie i chłodzie
Biedna żona z dziatkami usycha;
Bo bez męża dobytek marnieje,
Bo bez męża jej serce więdnieje,
Aż do chaty zapuka śmierć cicha“

„Ciężka dolo!... A tylu ich razem
Lśniących w słońcu bagnetów żelazem,
Pędzi przemoc niby bydła trzodę;
Oto z lasu wychodzą już tłumem,
A ich piosnka płacze z wiatrów szumem
A w ich sercach płaczą serca młode.“

„Gdybyż jeszcze stanęli na straży
Ku obronie swych ojców ołtarzy,
Swojej ziemi i zagród rodzinnych.
Lecz nie! pójdą strojni w mundur ciasny
Krwią i ogniem zalewać kraj własny!
I zabijać swych braci niewinnych!“

Westchnął głucho, i trzasnąwszy z bicza
Jak wichr pomknął, a bladość oblicza
Gorączkowym zakwitła rumieńcem.
Oko ogniem szalonym przeraża —
O! niech teraz nikt się nie odważa
Pędzić myślą za wiejskim młodzieńcem!

I znów szumią te l sy milczące,
W barw jesiennych przybrane tysiące
Różnowzore jak perskie kobierce;
Tylko słabiej z ich szumem się splata
Spiew co z zimnej oddali dolata
Spiew tak smutny aż chwyta za serce.

Marja B.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał
JÓZEF ROGOSZ.
(*Ciąg dalszy.*)

II.

Pan Kazimierz Zawilski był jedynym synem bardzo zacnych rodziców, którzy pod Karpatami posiadali kilka wiosek dobrze zagospodarowanych Rodzice kochali i pieścili Kazia, a Kazio po śmierci ojca, który go wcześnie odumarł, zajmując się gospodarstwem zajeżdżał konie i namiętnie polował. Przywar nie miał żadnych, chyba że wstręt do książki nazwiemy przywarą. Ale tą przywarą odznaczała się do niedawna cała młódź szlachecka, a pan Kazimierz był jej wiernym przedstawicielem.

Gdy dobiegał pełnoletności, matka, którą siły z każdym dniem opuszczały, zaczęła go prosić, by sobie wybrał życia towarzyszkę. Syn uznawszy te uwagi za słuszne, pojął w sąsiedztwie panienkę cnotliwą i piękną, do której szczerze się przywiązał, będąc nawzajem kochanym. Trzy lata żyli przykładnie i szczęśliwie, ale po trzech latach pan Kazimierz został wdowcem bezdzietnym. Od tego czasu posmutniał, prawie ztetryczniał. Napróżno matka starała się synowi żal wyperswadować; napróżno namawiała go do powtórnych związków; — pan Kazimierz był głuchym na perswazje i rady.

Wybuchła wojna. Pan Kazimierz wziął kilku chłopaków dworskich, a pożegnawszy matkę, która długo nie mogła rozłączyć się z jedynakiem, wyruszył na wojnę. Bił się rok cały, dosłużył się stopnia majora, ale podczas wzięcia stolicy raniony odłamem granatu, padł bezprzytomny i przeszło pół roku odleżał potem w lazarecie.

Odzyskawszy zdrowie, wrócił do domu, ale tu zastał wszystko inaczej jak zostawił. Matka umarła przed półrokiem zostawiając synowi majątek i błogosławieństwo; rządca gospodarzył myśląc więcej o swoich korzyściach niż o właścicielu, o którym wieści zaginęły; a służba przyjęta w ostatnich czasach, powitała dziedzica jak człowieka obcego. Jedyną osobą, która zaraz na wstępie okazała panu Kazimierzowi niekłamaną życzliwość, była klucznica, pani Barbara Krzywicka, wdowa po szlachcicu zagrodowym. Służyła ona we Wolicy od lat kilkunastu, więc pana Kazimierza pamiętała bardzo młodym.

Pani Barbara miała córkę, Kasię, nie tyle ładną, co gospodarną. Nasz major nie zwracał z początku na nią uwagi, ale gdy pewnej nocy pani Barbara po ośmiodniowej chorobie na zapalenie płuc przeniosła się do wieczności, pan Kazimierz, widząc, że teraz sam zostanie, poszedł do oficyn, a stanąwszy przed sierotą, rzekł ze łzami w oczach:

— Panno Katarzyno, Bóg wziął ci matkę a mnie przyjaciółkę. Odtąd nie będę miał przy sobie duszy życzliwej, a że i tobie byłoby może przykro szukać gdzie indziej obowiązku, więc obejm obowiązki po matce. A co, zgoda?

Kasia została.

Upłynęło lat kilkanaście. Naszemu majorowi szron włosy przyprószył, i rany coraz bardziej zaczynały dokuczać. Z Kasi zaś, z tej małej, piętnastoletniej Kasi, zrobiła się bardzo poważna panna Katarzyna, która już oddawna pragnęła zamienić swoje nazwisko na jakie inne, byle nie pospolite. Wprawdzie w tym czasie zgłaszali się

leśniczowie, ekonomowie i pisarze prowentowi, ale panna Katarzyna pomna na swój klejnot szlachecki, każdemu bez ogródek odpowiadała, że za „byle kogo wyjść nie może.“ W miarę jak lat przybywało, ubywało konkurentów, a gdy trzeci krzyżyk zanotowała w tajemniczym kalendarzyku panieńskiego żywota, z niemałym strachem postrzegła, że już od dwóch lat nie było kandydata do kosza.

Koło pana Kazimierza chodziła tymczasem jak to mówią na palcach. Rodzona siostra nie mogłaby okazywać więcej pieczołowitości. Ilekroć jątrzyły się dawne blizny, całemi nocami czuwała przy jego łożu i nieraz zdarzyło się, że chory przymknąwszy oczy ze znużenia, słyszał na własne uszy, jak panna Katarzyna uklęknąwszy na boku modliła się, głośno prosząc dlań o zdrowie. Czyż człowiek zacny mógłby na to być obojętnym? Pan Kazimierz był też wdzięcznym prawdziwie i nieraz mówił do córki pani Barbary.

— Wierz mi panno Katarzyno, gdyby nie ty, może byłbym już dawno umarł. Cobym ja począł, gdyby mnie ciebie brakło?

Właśnie gdy te słowa dwudziesty piąty raz powtórzył, panna Katarzyna westchnęła głęboko, a potem spuściwszy oczy szepnęła:

— A jednak panie majorze, może już niezadługo będę musiała pański dom opuścić.

Pan Kazimierz wypatrzył się na nią ze zdziwieniem.

— Co też pani mówisz, panno Katarzyno, alboż ci to źle w moim domu? Wszak nieraz powtarzałem, że gdybyś i za mąż wyszła zostawiłbym was oboje.

— Wiem, że pan major bardzo łaskaw, ale pan major zapomina, że dziewczynie służącej u nieżonatego, nie tak łatwo wyjść dobrze za mąż...

— Ej, co też panna pleciesz! Jam stary, schorowany... chyba by ten Boga w sercu nie miał, ktoby mógł plotki rozsiewać. Ot przysłyszało się coś pannie Katarzynie i kwita!

— Mnie się nie przysłyszało... źli ludzie ciągle się nami zajmują...

— Oszaleli! Przecie panna Katarzyna sama wiesz najlepiej, że to nieprawda.

— Jużci że wiem, ale ludzie wierzyć nie chcą. Właśnie dziś była u mnie klucznica z Warwanowiec i tyle mi nagadała, żem potem dwie godziny płakała. Mnie przykro porzucić pana majora, bardzo przykro, ale Bóg świadkiem że muszę... Dobra sława, to dla biednej dziewczyny skarb największy.

— Nie przeczę panno Katarzyno, nie przeczę — odparł pan Kazimierz i zamyślił się głęboko.

O czem myślał? O zasługach tej dziewczyny, która lat kilkanaście strawiła przy jego boku, o swojem usposobieniu skwaszonem, o zdrowiu, które domagało się bezustannej opieki dobrej kobiety, wreszcie o przyszłości samotnej, która go czekała. Tej przyszłości lękał się najbardziej. Żyjąc tak długo w zupełnem odosobnieniu od świata bał się nowych stosunków, nowych ludzi.

Pół godziny myślał, a po pół godzinie rzekł poważnie.

— Rozumiem twoje obawy panno Katarzyno, i bardzo mi się podoba, żeś mi szczerą prawdę powiedziała. Da Bóg jutro odpowiem ci na wszystko.

Nazajutrz w południe pan Kazimierz nie wezwał jej do siebie, ale sam poszedł do oficyny i ktoby temu dał wiarę, najformalniej oświadczył się o jej rękę.

— Wprawdzie jestem już stary i schorzały, mówił między innemi — ale za to potrafię być mężem uczciwszym niż niejeden furfant. Rodziny nie mam by mi wyrzucała, że biorę dziewczynę biedną; widoków na przyszłość także nie mam, szlachcianką jesteś panna po mieczu i kądzieli, gospodarstwa umiesz pilnować, a że i sama nie jesteś bardzo młodziutką, więc mam nadzieję że głupstwa nie będą ci w głowie. Oto masz mnie jakim jestem. Jeżeli przystaniesz panno Katarzyno, do sześciu tygodni odprawimy wesele.

Nie trudno się domyśleć, że na żołnierskie to przemówienie panna Katarzyna zapłoniona po białka oczu odpowiedziała potwierdzająco. Wprawdzie służba szeptała sobie potem na ucho, że panna Katarzyna sama tę kabałę oddawna ukartowała, ale ponieważ nie mamy daru odgadywania cudzych tajemnic, więc chcemy wierzyć, że ostnia jej rozmowa z majorem była szczerą.

W rzrczy samej, do sześciu tygodni, ku wielkiemu zgorszeniu całej okolicy, odbył się w Romanówce ślub, a wesele we dworze we Wolicy, największej posiadłości majora, gdzie nowożeńcy stale zamieszkali.

Człowiek strzela — pan Bóg kule nosi. Ktoby się spodziewał że pan Kazimierz Zawilski, tak wcześnie złamany i do świata zniechęcony, odżyje dopiero w jesieni swojego życia. I odżył nie sztucznie, ale pełną piersią, bo do roku żona powiła mu córkę, której na chrzcie dano imię Antosia, a którą później przez skrócenie zaczęto nazywać Tonią.

Wprawdzie pani Katarzyna nie należała do osób, które w pożyciu domowem wielką przyjemność sprawiają, — wprawdzie wskutek wychowania i dawnego stanowiska w mowie swojej i całem postępowaniu zachowała bardzo wiele wspomnień, które nawet tak mało wymagającemu majorowi nie raz dokuczyły, ale on na to nie zważał i wszystko jej przebaczał, bo w zamian za drobne przykrości przyniosła mu skarb cały— dziecię.

Gospodarna, zapobiegliwa, uczciwa, mogłaby się nawet nazywać żoną wzorową, gdyby nie narowy, które byłby z niej wykorzenił mąż inny, chcący oddać się edukacji żony, ale których bądź nie chciał bądź nie umiał oduczyć jej pan Kazimierz. Najpierw pani Katarzyna była niesłychanie gderliwą, za co odpowiedzialność spada na całą służbę dworską, która najłagodniejszą nawet klucznicę musi zrobić gderliwą, — a powtóre wiecznie się jej zdawało, że każdy chce jej wytykać niskie pochodzenie, skutkiem czego pozowała, jakby na świat przyszła nie w oficynie, lecz w komnatach karmazynem obitych.

Często zdarza się, że gdy mężczyzna we wieku majora, ożeni się z kobietą energiczną a o kilkanaście lat młodszą od siebie, ona zawojuje go najzupełniej, tak że tylko jej wola jest jego wolą. Rozminęlibyśmy się z prawdą, gdybyśmy twierdzili, że pani Katarzyna nie miała takich zamiarów. Owszem, jak ślimak rożki, tak ona w tym kierunku wytężała nieraz cały swój spryt kobiecy, lecz nigdy jej się to w zupełności nie udało. W drobnostkach mąż ustępywał dla świętego spokoju, ale w rzeczach ważnych miał zawsze swoją wolę.

Przekonała się o tem w pierwszym zaraz roku pożycia małżeńskiego.

Pan Kazimierz miał na Mazurach starego przyjaciela i towarzysza broni, pana Macieja Krzemieńskiego, który w smutnej pamięci r. 1846 zginął razem z żoną. Po zabitych zostało się dziecię, chłopczyk sześcioletni, który podczas rzezi cudem ocalał. Zacny major postanowił wziąć do siebie małego Edmunda i zająć się jego edukacją. Plan ten pani Katarzynie bardzo się nie podobał. Czy bała się może, by dla obcego dziecka ojciec nie zapomniał o własnej córce, która w tym czasie na świat przyszła? Mąż nie słuchając uwag żony, pojechał, przywiózł chłopca i zaczął się nim zajmować jak własnem dzieckiem.

Pani Katarzyna podrażniona tem niepowodzeniem, nie mogła odtąd przebaczyć Mundziowi, że w brew jej woli zamieszkał we Wolicy.

A mały Mundzio niczem nie zasłużył sobie na jej niechęć. Chociaż temperament miał gorący, powiedziałbym nawet ognisty, był posłuszny, nikomu żadnej przykrości nie wyrządził i chętnie spełniał każdy rozkaz starszych. Ile razy na dzień mógł oderwać się od książki biegł do maleńkiej Toni i jakby nie był chłopcem, lecz dziewczynką, która już na świat przychodzi z uczuciami macierzyńskiemi, kołysał dziecko całemi godzinami, nucąc na tony najrozmaitsze ludowe pieśni, których niegdyś uczyła go piastunka. Dziecię spało, a gdy się zbudziło i dużemi niebieskiemi oczyma spojrzało na Mundzia, którego czarne oczy jak dwie gwiazdy odbijały od smagłej cery, zaraz uśmiech pojawiał się na usteczkach Toni i drobne jej rączęta szukały szyi przybranego braciszka. Cichy ten obrazek napełniał zawsze szczęściem serce pana Kazimierza.

We Wolicy kilka lat grobowa panowała cisza, — przerywana chyba zrzędzeniem pani domu, która rozumiejąc się dobrze na stosunkach służbowych wszędzie zaglądała, do wszystkiego się mięszając. Nie była też z nikogo zadowoloną, z wyjątkiem pani Pędrackiej, teraźniejszej klucznicy, która sprytem i pochlebstwami potrafiła sobie zaskarbić jej względy. Ją jedną pani zaszczycała swojem zaufaniem, z nią jedną naradzała się we wszystkich stanowczych chwilach życia.

Z sąsiedztwa rzadko kto zajrzał do Wolicy, bo długo nie chciano pani Zawilskiej przebaczyć jej pochodzenia, a i major sam lubiący przedewszystkiem zacisze domowe i rozumiejący dobrze że Kasią nie można się pochwalić, unikał towarzystwa; dopiero gdy dzieci podrosły, gdy ich szczybioty i zabawy ożywiły smutny dotąd dwór i ogród, gdy Edmund otrzymał guwernera, a Tonia bonę, kobietę bardzo miłą i wykształconą, i gdy dzięki tym osobom pani majorowa „o świat się otarła,“ dopiero wtedy sąsiedztwo zaczęło się zbliżać do majora, zapraszać go do siebie i zjeżdżać do Wolicy. Pan Kazimierz jak przedtem był obojętnym na niechęć tych, z którymi ścisłe stosunki nigdy go nie łączyły, tak teraz nie zwracał uwagi na ich attencje; natomiast pani Katarzyna była tem niezmiernie uradowaną, gdyż jak Pędracka utrzymywała, świat poznał się na jej wartości.

Sąsiedzi przyjeżdżali więc chętnie, a chociaż pan Damazy wracając do domu często rzucał uwagę, że gdy pani majorowa mówi, czuć od niej jeszcze zapach mleka i sera, a gdy idzie przez salon, brakuje jej tylko kluczów, by była w dawnej roli, mimo to nikt tych słów nie brał tak jak brzmiały, zwłaszcza że sąsiedzi wiedzieli, iż pan Damazy dla tego pozuje na arystokratę, że jedna z najdalszych jego kuzynek wyszła za jakiegoś hrabiego, który cierpiąc na nieszkodliwe

pomięszanie zmysłów, zamiast pójść do domu obłąkanych, ożenił się z nią nie wiedząc jak i kiedy.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

T a j e m n i c a.

Rozdział X.

(Ciąg dalszy.)

(Przeniesienie Harberta do Pałacu Granitowego. — Nab opowiada co zaszło. — Zwidzenie terasy przez Cyrusa Smitha. — Ruina i spustoszenia. — Osadnicy bez porady w obec choroby. — Kora wierzbowa. — Śmiertelna gorączka. — Top szczeka znowu.)

O rozbójnikach, o niebezpieczeństwach zagrażających Pałacowi Granitowemu, o ruinach pokrywających terasę nie było już ani mowy. Stan Harberta kazał zapomnieć o tem wszystkiem. Byłoż to przeniesienie zgubnem dla niego? Czy wywołało jakie uszkodzenie wewnętrzne. Korespondent nie umiał na to odpowiedzieć i wraz z resztą towarzyszy był w rozpaczy.

Doprowadzono wózek do zakrętu rzeki. Tu na noszach z kilku gałęzi złożono materace, na których bez znaku życia leżał Harbert. W dziesięć zaś minut potem Cyrus Smith, Gedeon Spillet i Pencroff byli już pod murami Pałacu, powierzywszy Nabowi odprowadzenie wózka na Wielką Terasę.

Windę wprowadzono w ruch i wkrótce Harbert znajdował się na łóżku w Pałacu Granitowym.

Starania, których około niego nie szczędzono, przywróciły go do życia. Uśmiechnął się przelotnie, ujrzawszy się w swoim pokoju, zaledwie jednak kilka słów mógł wyszepnąć, tak był osłabiony.

Gedeon Spilett obejrzał rany. Główną jego obawą było, że się otworzyły nie będąc jeszcze w zupełności zabliźnione. Nic jednak podobnego się nie stało. Zkąd więc pochodził ten upadek sił nagły i otrętwienie? Czemu stan Harberta się pogorszył?

Wkrótce młodego chłopca ogarnął rodzaj gorączkowego snu. Pencroff więc i korespondent pozostali przy jego łożu.

Tymczasem Cyrus Smith obznajamiał Naba ze wszystkiem, co zaszło w zagrodzie, a Nab ze swojej strony opowiadał swemu panu zdarzenia, których widownią była terasa.

Niedawniej to jak przeszłej nocy zbiegi pokazali się na skraju lasu w pobliżu Glicerynowego potoku. Nab, znajdujący się w tej chwili właśnie przy kurnikach, nie wahał się ani chwili wypalić do jednego z rozbójników, zabierającego się przejść w bród strumień, ale z powodu osobliwie ciemnej nocy, nie wiedział, czy trafił tego nędznika. W każdym razie jednak strzał ten wystarczył do powstrzymania całej bandy i dał Nabowi czas do wycofania się w głąb Granitowego Pałacu, gdzie mógł się przynajmniej czuć bezpiecznym.

Cóż jednak dalej było czynić? Jak przeszkodzić spustoszeniu, którem rozbójnicy zagrażali terasie. Miałże Nab środek uprzedzenia swojego pana? A zresztą, czyż wiedział w jakiem położeniu znajdowali się sami mieszkańcy zagrody?

Cyrus Smith i towarzysze odjechali 11 listopada a wtedy było już 29. Dziewiętnaście więc dni upłynęło, jak Nab nie otrzymał innej wieści od nich, oprócz przyniesionej przez Topa — wieści bardzo smutnej: że Ayrton zginął, Harbert ciężko ranny, inżynier i korespondent niejako uwięzieni w zagrodzie.

Co począć? zadawał sobie pytanie biedny Nab. Osobiście nie potrzebował się niczego obawiać, rozbójnicy bowiem nie mogli dostać się do Pałacu Granitowego. Ale budowle, plantacje, całe gospodarstwo było na łasce rabusiów! Nie należałoby odnieść się do Cyrusa Smitha po wskazówkę, co ma czynić, i zawiadomić go przynajmniej o grożącem niebezpieczeństwie?

Wówczas to Nabowi wpadło na myśl użyć Jowa i powierzyć mu kartkę. Znaną mu była nadzwyczajna zmyślność tego zwierzęcia, niejednokrotnie już wypróbowana. Jow rozumiał słowo: z a g r o d a tak często w obec niego powtarzane i nawet jak czytelnicy sobie zapewne przypomną, nieraz bywał w zagrodzie z wózkiem w towarzystwie Pencroffa. Dzień jeszcze nie zaświtał. Chyży orang mógł więc prześliznąć się niepostrzeżenie przez lasy, w których zresztą mogli go wziąć rozbójnicy za jednego z naturalnych mieszkańców tych okolic.

Nab tedy dłużej się już nie wahał. Napisał kartkę, przymocował ją do karku Jowowi, przywiódł go do drzwi Pałacu Granitowego, z których spuścił długą linę aż ku ziemi — i zawołał nań kilkakrotnie temi słowy:

— Jowie! Jowie! zagroda, zagroda!

Zwierzę pojęło o co chodzi, pochwyciło za sznur, zsunęło się błyskawicą na wybrzeże i znikło w cieniach, nie zwróciwszy bynajmniej uwagi rozbójników.

— Dobrześ zrobił, Nabie odezwał się Cyrus Smith — ale kto wie czy nie uprzedzając nas, nie byłbyś zrobił jeszcze lepiej!

Mówiąc tak, Cyrus Smith, miał na myśli Harberta, którego wyzdrowienie zdało się tak mocno zachwianem przez owe przenosiny.

Nab ciągnął dalej i kończył swoje opowiadanie. Rozbójnicy nie pokazali się wcale na wybrzeżu przed Pałacem. Nie świadomi o ilości mieszkańców wyspy, mogli sądzić, że Pałacu Granitowego broni znaczna załoga. A w tem przekonaniu mogło ich utwierdzić jeszcze wspomnienie owych mnóstwa strzałów wysłanych przeciw nim w czasie napadu brygu, strzałów pochodzących i z wyższych i z niższych skał — nie chcieli więc zapewne narażać się. Ale Wielka Terasa stała im otworem, nie będąc na oku strzałom z Granitowego Pałacu. To też na niej dali folgę swoim niszczycielskim popędom, rabując, paląc, wytwarzając zło dla zła — a cofnęli się dopiero najwyżej na pół godziny przed przybyciem osadników, których zresztą myśleli znaleść jeszcze w zamknięciu w zagrodzie.

W pierwszej zaraz chwili Nab wypadł ze swego schronienia. Wdarł się na terasę z narażeniem na strzały, usiłował stłumić pożar pożerający właśnie kurniki, i walczył ale napróżno przeciw ogniowi aż do chwili pojawienia się wózka na skraju lasu.

Takie były owe ważne wypadki. Obecność rozbójników stawała się bezustanną groźbą dla osadników wyspy Lincolna, tak szczęśliwych do tej pory — a którym należało się przygotować na większe jeszcze nieszczęścia!

Gedeon Spilett pozostał przy Harbercie z Pencroffem w Pałacu Granitowym, a tymczasem Cyrus Smith w towarzystwie Naba udał się dla ocenienia osobiście rozmiaru spustoszenia.

Wielkie to było szczęście, że rozbójnicy nie zapędzili się aż pod same stopy Granitowego Pałacu. Warsztaty w „Dymnikach“ nie byłyby uszły zniszczeniu. Bądź co bądź jednak łatwiej byłoby tę szkodę naprawić, aniżeli ruiny nagromadzone na Wielkiej Terasie.

Cyrus Smith i Nab skierowali się ku „Dziękczynnej“ i przeszli jej cały brzeg lewy, nie znalazłszy nigdzie ani śladu rozbójników. Na drugim brzegu rzeki w gęstwinie lasu nie natrafili również na żadną podejrzaną oznakę.

Zresztą oto przypuszczenie, które miało po sobie najwięcej prawdopodobieństwa że: albo rozbójnikom wiadomy już był powrót osadników do Pałacu Granitowego, mogli ich bowiem byli spostrzedz w drodze z zagrody — lub też że natychmiast po spustoszeniu terasy, zagłębili się w las jakamarowy, idąc za biegiem Dziękczynnej — i ztąd nie wiedzieli nic o powróceniu osadników.

W pierwszym razie musieli zapewne powrócić do zagrody, obecnie nieobronnej a tyle drogocennych dla nich zawierającej zasobów.

W drugim zaś, zapewne cofnęli się do swego obozowiska, aby tam oczekiwać na nową sposobność do napadu.

Należało więc ich uprzedzić; wszelkie jednak przedsięwzięcia w tym kierunku były jeszcze zależnemi od stanu zdrowia Harberta; w samej rzeczy, do takiej wyprawy wszystkie siły nie byłyby zbyteczne; — a w danej chwili nikt nie mógł opuścić Granitowego Pałacu.

Inżynier i Nab przybyli na terasę. Strach było na nią popatrzeć. Łany zdeptane i stratowane. Dojrzałe kłosy, przedmiot przyszłego żniwa, leżały na ziemi pokotem.

Inne plantacje również ucierpiały. Ogród jarzynowy wyglądał nie do poznania.

Na szczęście Pałac Granitowy posiadał zasób nasion wystarczający do naprawienia tych szkód.

Co do młyna i zabudowań dla ptastwa i stajni dla onagasów, pożar zniszczył je do szczętu. Kilka spłoszonych zwierząt błądziło po terasie, a ptastwo, które w czasie pożaru szukało schronienia na wodzie jeziora, powracało już powoli do swego zwykłego siedliska i zaczynało się pluskać przy brzegach.

Wszystko trzeba było odbudowywać na nowo.

Oblicze Cyrusa Smitha, bledsze niż zazwyczaj, zdradzało gniew wewnętrzny nie bez trudności hamowany, — z ust inżyniera jednak nie wyszło ani jedno gwałtowne słowo. Raz jeszcze rzucił okiem po spustoszonych polach, spojrzał na kłęby dymu unoszące się jeszcze nad zgliszczami i powrócił do Granitowego Pałacu.

Następne dni należały do najsmutniejszych, jakie osadnicy mieli dotychczas do przebycia na wyspie. Osłabienie Harberta wzmagało się widocznie. Zdawało się, że zagraża mu jakaś o wiele cięższa choroba, będąca następstwem głębokiego wstrząśnienia fizjologicznego jakiemu uległ, i Gedeon Spilett przeczuwał takie pogorszenie się stanu chorego, któremu nie będzie w możności zapobiedz.

I w istocie, Harbert wciąż był pod władzą

pewnego rodzaju drzemki, prawie bezustannej a przytem niektóre oznaki maligny poczęły się również pojawiać. Tymczasem jedynym środkiem, jakim rozporządzać mogli osadnicy, były tylko ziółka orzeźwiające. Gorączka z początku nie zbyt mocna, wkrótce jednak poczęła objawiać widoczne dążenie do przejścia w regularne paroksyzmy.

Gedeon Spilett poznał to 6 grudnia. Palce nos i uszy biednego młodzieńca nagle posiniały prawie, a w ślad za tem pochwyciły go najprzód lekkie dreszcze, potem silniejsze wstrząśnienie i nareszcie gwałtownie trząść go zaczęło. Puls miał słaby i nierówny, skórę suchą, mocne pragnienie. Po tym perjodzie nastąpił wnet perjod gorąca; cera twarzy się ożywiła, skóra poczerwieniała, tętno poczęło galopować. Potem nastąpiły obfite poty — i po nich gorączka zdawała się zmniejszać. Cały paroksyzm trwał około pięciu godzin.

Gedeon Spilett nie opuścił ani na chwilę Harberta, nawidzonego obecnie przez febrę perjodyczną. Odkrycie to było aż nadto pewnem— a najważniejszą kwestją danej chwili stało się przerwanie za jaką bądź cenę tej niszczącej choroby, zanim przybierze groźniejsze rozmiary.

— Ażeby zaś tego dokonać — rzekł Gedeon Spilett do Cyrusa Smitha — niezbędnym jest jaki środek antifebryczny.

— Środek antifebryczny! — odrzekł inżynier. Niestety nie mamy ani chininy, ani siarczanu chininy.

— To prawda — odezwał się Gedeon Spilett — ale mamy wierzby nad jeziorem, których kora może niekiedy zastąpić chininę.

— Sprobójmy więc, nie tracąc ani chwili!— zawołał Cyrus Smith.

I w istocie, kora wierzbowa słusznie uważaną bywa za środek zastępujący chininę, tak jak kasztan indyjski, liść ostrokrzewu, wężownik wielki i t. d. Należało więc widocznie spróbować tej substancji, jakkolwiek nie wyrównającej chininie i działaniu jej w stanie naturalnym, ponieważ brakło osadnikom środków do odpowiedniego jej przyrządzenia.

Cyrus Smith sam pospieszył odciąć od pnia wierzby z rodzaju czarnych kilka kawałków kory, które przyniósłszy do Granitowego Pałacu, sproszkował — a następnie tegoż jeszcze wieczora proszek ten zadano Harbertowi.

Noc przeszła bez żadnych groźnnych wypadków, Harbert miał nieco gorączki, ale febra się nie pojawiała przez noc, ani nawet następnego dnia.

Pencroff jął powracać potroszę do nadziei. Gedeon Spilett nic nie mówił. Kto wie czy perjody febry były codzienne, czy też nie była to czasem trzydniówka, mogąca właśnie jutro powrócić. To też oczekiwano tego jutra z jak najsilniejszym niepokojem.

Zauważyć także było można, że w czasie tego perjodu pozornego spokoju, Harbert leżał jakby złamany, mając głowę ciężką i skłonność do zawrotów. Był także i inny jeszcze symptom, który w najwyższym stopniu przeraził korespondenta. Oto wątroba Harberta poczęła przechodzić w stan kongestji, a powiększenie gorączki dało wkrótce dowód, że i zapalenie mózgu się zaczyna.

Gedeon Spilett stał jak rażony piorunem w obec tej nowej komplikacji. Odprowadził inżyniera na stronę.

— To żółta febra! — rzekł doń.

— Żółta febra! zawołał Cyrus Smith. Musisz się mylić, Spilecie. Żółta febra nie objawia się samorodnie. Potrzeba mieć jej zaród w sobie.

— Nie mylę się odpowiedział korespondent. Harbert musiał pochwycić ów zaród w bagniskach wyspy — a to aż nadto wystarcza. Pierwszy paroksyzm już miał. Jeżeli przyjdzie drugi a trzeciemu zapobiedz nie zdołamy, nasze dziecko... zgubione!...

— A ta kora wierzbowa!...

— Obecnie już teraz nie wystarcza, — a trzeci paroksyzm żółtej febry, jeżeli nie powstrzymany chininą, bywa zawsze śmiertelnym!

Na szczęście Pencroff nic nie pochwycił z tej rozmowy. Inaczej byłby oszalał.

Łatwo pojąć tedy w jakim niepokoju przeżyli korespendent i inżynier ów dzień 6 grudnia i noc następną.

Mniej więcej w połowie dnia przyszedł drugi paroksyzm. Przesilenie było straszliwe. Harbert czuł, że ginie! Wyciągnął ręce do Cyrusa Smitha, do Spiletta, do Pencroffa!... Chciał żyć!... Było to widowisko rozdzierające serce. Pencroffa musiano oddalić.

Paroksyzm trwał przez pięć godzin. Widoczną było rzeczą, że trzeciego podobnego Harbert nie wytrzyma.

Noc nazwać można okropną. W gorączce Harbert mówił rzeczy, zakrwawiające serca jego towarzyszom. Bredził, walczył przeciw rozbójnikom, przywoływał Ayrtona. Błagał ową tajemniczą istotę, owego protektora, dziś gdzieś zatraconego a którego obraz majaczył przed nim bez ustanku... Potem zaś wszystkiem zapadał w stan głębokiego wyczerpania sił, usuwający wszelki prawie ślad życia.... Wielekroć, Gedeon Spilett myślał, że biedny młodzian już nie żyje.

Następny dzień, 8 grudnia był jednym szeregiem następujących po sobie zawrotów i omdleń. Wychudłe ręce Harberta kurczyły się po prześcieradle. Dano mu nową dozę sproszkowanej kory, ale korespondent niczego się już od tego środka nie spodziewał.

— Jeżeli przed jutrzejszym porankiem — rzekł — nie użyjemy energiczniejszego antifebrycznego środka, Harbert umrze!

Noc przyszła — ostatnia noc zapewne dla tego dziecka odważnego, rozumnego, dobrego, o tyle wyższego nad wiek swój a ukochanego przez wszystkich towarzyszy, jak syn rodzony. Jedynego istniejącego środka przeciw tej straszliwej żółtej febrze, jedynego specyfiku zdolnego ją zwalczyć, na wyspie Lincolna nie było!

Tej nocy z 8 na 9 grudnia Harberta pochwyciła na nowo i gwałtowniejsza jeszcze gorączka. Zapalenie wątroby miał okropne, mózg zaatakowany i prawdopodobnie nie poznawał już nikogo.

Czy doczeka jutra i owego trzeciego paroksyzmu, który go niechybnie ma zabić? — nawet za to już nie można było zaręczyć. Siły jego się wyczerpały a w przerwach paroksyzmów leżał jak bez życia.

Około trzeciej nad ranem Harbert wydał okrzyk. Sądziłbyś że się wije w ostatecznych konwulsjach. Nab, znajdujący się przy nim właśnie, z wyrazem najwyższej trwogi wpadł do sąsiedniego pokoju, kędy reszta towarzyszy czuwała!

W tej chwili Top zaszczekał osobliwym sposobem!

Jednocześnie wszyscy osadnicy wpadli i ledwo zdołali utrzymać konającego młodzieńca, który koniecznie chciał rzucić się z łóżka. Gedeon Spilett dotknąwszy jego ręki, uczuł że puls coraz mu słabnie...

Była piąta z rana. Promienie wschodzącego słońca poczynały się wciskać do pokojów Granitowego Pałacu. Wszystko zapowiadało piękny dzień, a dzień ten miał być ostatnim dla biednego Harberta...

Promień słońca padł na stolik, stojący obok łóżka!

I w tej chwili z ust Pencroffa wyrwał się krzyk a ręka jego wskazała na przedmiot jakiś leżący na stoliku.

Było to maleńkie, podługowate pudełeczko, na którego pokrywce stały te słowa:

Siarczan Chininy!

(C. d. n.)

POGADANKI.

XV.

„Okropne dzieje zesłał nam czas.“ Bracia w postępie, demokraci z ducha, krwi i kości, rycerze walczący w jednym szeregu przeciw antinarodowym zapędom Stańczyków, powadzili się z sobą, wzięli się za czuby. Spokojny Lwów od niepamiętnych czasów nie zaznał takiej wojny domowej. Ultraliberalna *Narodówka* i radykalny *Dziennik Polski* wśród wspólnych pragnień reformy ustawy gminnej i drogowej, wśród wspólnego z zaprzańcami krakowskimi boju, pożerają się nawzajem, łamią sobie kości, wydzierają sobie serca z łona. Strach, co się dzieje!

Musa mihi causas memora, quo numine laeso
Quidve dolens

Narodówka sprawiła, że Pełtewa mąci swoje zdroje, a Lwia góra chmurzy pogodne oblicze na widok takiej zgrozy?

Oto, recenzent *Dziennika* ośmielił się wypowiedzieć, że język włoski, jakkolwiek dźwięczny, nie zastąpi nam mowy ojczystej. Ośmielił się nadto twierdzić, że Halki, Hrabiny, Verbum nobile, itp. oper po włosku śpiewać nie można. Ośmielił się nakoniec wypowiedzieć, że równie jak Strachino di Milano, albo jak Salami di Verona, tak i primadonny sprowadzone z Medjolanu nie zawsze są tej samej jakości, bo nie zawsze mają głos słowiczy, i nie zawsze umieją śpiewać. Bluźnierstwo to byłoby do darowania, gdyby było wygłoszone o innej porze roku. Ale odważyć się na coś podobnego w chwili, gdy w komisji Sejmowej ważą się losy subwencji dla teatru, w chwili, gdy dyrekcja zapowiedziała przedstawienie apoteozy zakonu Lojoli, którą zrymował p. Józef Szujski — to było rzeczą niegodziwą, nie patrjotyczną, zbrodniczą. Ztąd, *saevae memorem Junonis ob iram*, recenzent *Dziennika* odsadzony został w *Gazecie* nietylko od prawa posiadania jakiegokolwiek własnego zdania, ale nawet od przynależności do rodzaju ludzkiego, a tem samem, od wszelkiej czci i wiary. Ponieważ zaś pokora chrześcijańska nie bywa udziałem bezwyznaniowców, więc i z Halickiej ulicy na wystrzał odpowiedziano wystrzałem, i

„Pantes d' essejonto podes polypidakos Ides,
Kaj koryphaj, Troon de polis....)*

*) „Wszystkie zatrzęsły się spody wielogrzbietnych gór Idy.
„Niemniej podpory i miasto Trojanów...“ (Klnę się na Homera, że to heksameter. P A.)

*

Trzy kamienice runęły, lub uległy zapieczętowaniu, łaźnia żydowska stanęła w płomieniach, a księdzu Zaklińskiemu ostatnie zasoby świeckiej mądrości przewróciły się w głowie do góry nogami. Wstrząśnienie było tak wielkie, że *Ruch* począł się trochę ruszać, ale niewyraźnie, i że p. Krzeczunowicz powziął mniemanie, jakoby stały kataster zmobilizował się ni ztąd ni z owąd bez jego wiedzy. U Małeckiego, u Finka, u Stadtmüllera i pod Gruszką u Ludwika, srogi niepokój owładnął wszystkie umysły, a w kawiarni Wiedeńskiej twierdzono, że nawet hr. Andrassy zachwiał się na swojej posadzie. Gdybym pamiętał jeszcze choć jeden wiersz łaciński lub grecki, nie omieszkałbym zacytować go w tem miejscu, albowiem i ja czuję się tak do głębi poruszonym tą katastrofą, że zwykła nasza lwowska polszczyzna nie wystarcza mi do wyrażenia moich bolesnych uczuć. Jak łatwo bowiem walka może przenieść się na inne pole! Jak łatwo zwaśnione żywioły zapalić mogą pożar w kwestji szupaśniczej, w kwestji zaopatrzenia psów kagańcami, w kwestji nakoniec pobicia blachą realności hr. Potockiego przy ulicy Kopernika! Któż zdoła przewidzieć, czy wyraziwszy dzisiaj współczucie dla stróżów targowych, których P. T. pp. szupaśnicy mają zwyczaj turbować naskórnie, nie będzie jutro wskazanym w *Gazecie Narodowej* jako odstraszający przykład zupełnego opczłowieczenia się i przewzierzęcenia? Albo czy jest pewność, że indywiduum najniewinniej w świecie odmawiające wysłańcowi pana Pasquale Zacchi przyjemności zagrania w loterję o gipsowy posążek jakiego śp. Olimpijczyka, nie będzie okrzyczanem na całej ulicy Sobieskiego jako „krytykarz“, którego „zakusy“ nie „wyściubiwszy nosa po za Lwów,“ nie są w stanie wznieść się do poznania, że bez dwóch Włoszek i kilku Włochów (z Jungbunzlau) opera polska w naszem mieście ostać się nie może? Albo, nakoniec, czy jest śmiertelnik, któryby nie przewidywał chwili pojawienia się w pewnej gazecie, jednego artykułu karcącego przeciwników świeckiej władzy papieża, obok drugiego, zawierającego gorące życzenie, by Garibaldi na czele swoich strzelców alpejskich przybył poskromić nadpełtwiańskich nieprzyjaciół jedności włoskiej w osobach redaktorów *Dziennika?* Wszak historja stolicy naszej uczy nas, że spory tego rodzaju, jak obecny, przeradzają się zazwyczaj w wielką plątaninę najrozmaitszych pojęć, póki nakoniec nie dojrzeją do rozprawy przed sędem przysięgłych!

Panowie! W imieniu tych srodze prześladowanych obywateli, którymby przyszło przez kilkanaście dni przysłuchiwać się waszym dziennikarskim żalom, w imieniu ich matek, sióstr, żon i dziatek zaklinam was, jak ongi i mnie zaklinał lwowski korespondent *Dz. Poznańskiego* — panowie, pogódźcie się! Kochana, jedyna *Narodóweczko*, wszak serdenko twoje łagodniejszem jest od owieczki, wszak nikt ci nie zrobił nic złego, nie irytuj się, duszo nie łaj! Toż nie ma nikogo, coby ci z całego serca nie życzył jak najhojniejszej subwencji dla teatru, coby nie pragnął jego rozwoju pod twoją egidą! Ludzie nie są tak źli, jak ty sądzisz. Nikt ci nie zazdrości przyjemności kłaniania się pp. członkom komisji i innym posłom, ani targów z chórzystkami, ani fochów zakulisowych, ani kłopotów z wypłatą gaży, zwłaszcza w Czerwcu, Lipcu i Sierpniu, ani innych rozrywek, składających los dyrektora. Uspokój się, moje kochanie, wszak jeżeli kto wskazał Sejmowi, że zamiast swojskich, pożywnych zrazów z kaszą, zmuszoną jesteś karmić nas chudym makaronem włoskim, którego łokieć kosztuje *un' bajocco*, to nie wynika z tego jeszcze byś nie była pełną dobrej woli, ale wynika owszem, że potrzebujesz monety na sprawienie nam odpowiedniejszych wiktuałów. Do ciebie zaś zwracam się szczególnie, szanowny kolego gazeciarzu a wielmożny dyrektorze — wszak polor twój światowy i gładkie obchodzenie się z ludźmi, jakoteż w ogóle dobre i cywilizowane maniery twoje szeroko słyną w świecie; pocóż zadajesz kłam własnej naturze, poco udajesz od czasu do czasu grubjanina w osobistem zetknięciu się z recenzentami? Bądź sobą samym, bądź tym eleganckim, grzecznym, dystyngowanym mężem pióra i dzwonka kurtynowego, którego tak kochamy!

Ty zaś, słodki *Dzienniczku*, zastanów się od czasu do czasu nad opłakanem położeniem dyrektora opery, którego primadonny mają za dojne cielę, jakkolwiek zoologja nie zgadza się z tak sprzecznem w sobie pojęciem. Uwzględnij, że niektóre damy, na podstawie czternastu tonów, które mają w gardzieli, i które umieją wydawać z siebie w przypisanym przez kompozytora porządku, w istocie wymagają nieraz za wiele. Z tego, że panna Tellini lub pani Czechowska mogą nie dbać o sceny ojczyste, nie wynika jeszcze, by każda inna śpiewaczka rościła sobie pretensję do gaży równającej się razem wziętym emolumentom rocznym trzech cyrkumlokutorów z pod l. 20 ul. Kopernika. Na wszelki wypadek, łatwiej jest zaśpiewać: „Zwiędłej róży blady kwiecie“ dla audytorjum złożonego w $^3/_4$ cześciach z niemuzykalnych stworzeń boskich, aniżeli przekonać p. Kobylarza, że droga z Rzeszowa do Nadbrzezia musi iść na Sokołów. Mała nauczka nie zawadzi tu wcale.

Mniemam, że na podstawie powyżej wytkniętej, wojna domowa mogłaby być zażegnaną, nim jeszcze mocarstwa europejskie wdadzą się w akcję. Jeżeli zaś pokój taki nastąpi, jenerał Rodicz będzie mógł zazdrościć mi dzieła pacyfikacyjnego, dokonanego kilkoma pociągnięciami pióra. *Quod dii bene vertant!*

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

Nieśmiertelne dusze. I. Ojciec Makary, dramat w 3 aktach Władysława Okońskiego. Kraków — nakładem księgarni Adolfa Dygasińskiego i Sp. 1876.

(Ciąg dalszy.)

Przejdźmy teraz do samego dramatu. Oto treść jego w krótkości opowiedziana: Ojciec Makary, Bernardyn, miał, gdy był młodym, stosunek z pewną dziewczyną, którego owocem było dwoje dzieci: Aureli i Cecylja. Położenie jego towarzyskie nie dozwalało mu się zająć osobiście wychowaniem dzieci: syna więc oddał na wychowanie przyjacielowi, a córkę zostawił przy matce, rozgłosiwszy przed ludźmi, że to dziecko znaleziono podrzucone. Upłynęło lat 25. Aureli dostał się do Francji i wstąpiwszy do wojska w Afryce w walkach z Beduinami dosłużył się stopnia i sławy. Córka przy matce wyrosła na piękną i dobrą dziewicę. W chwili rozpoczęcia akcji Makary zmuszony był na kilka dni wyjechać. Nieszczęście chciało, że właśnie podczas nieobecności dawnego kochanka matka Cecylji obłożnie zachorowała, tak, że ją musiano odwieść do szpitalu. Dziewczyna pozostała bez opiekunki — ale nie długo. Pewna bogata dama, Regina, dowiedziawszy się o nieszczęściu, zabrała sierotkę do siebie, jako lektorkę. Ciekawy to egzemplarz kobiety ta panna Regina. Młoda, piękna, bogata, rozumna, posiadająca wszystkie przymioty nadające wziętość w świecie, odsunęła się jednak od niego i żyje samotna. Choć jednak świat odpłacając się wzajemnie, zamknął przed nią podwoje — nie brak jej na licznych wielbicielach. Każdy młody człowiek z „towarzystwa“ stara się do niej zbliżyć — setki biletów miłosnych odbiera codziennie, a o każdej prawie godzinie można spotkać z tuzin zakochanych kawalerów przechadzających się pod jej oknami. Regina używa w całem mieście jak najgorszej reputacji, jej dziwne zachowanie się wobec świata nadało mu rzekome prawo uważania jej za kobietę upadłą — za rozpustnicę. Zdanie to jednak jest zupełnie fałszywe. Regina jest czystą jak alpejskie śniegi, ona pogardza światem nie pojmującym jej i szczyci się tem, że złe o niej mają zdanie — niesłusznie. Usunięcie się jej od świata jest po pierwsze wynikiem przykładu, jaki miała na własnym ojcu, którego za najlepsze zamiary zbezczeszczono, a powtóre wynikiem głębokiego, filozoficznego przekonania, że życie towarzyskie wkłada na nas więzy, a w zamian za to daje tylko błyskotki. Czy warto więc za kłamany uśmiech, nieszczery uścisk dłoni, lub czczy komplement, zaprzedawać się w niewolę niedorzecznym a zarazem srogim wymaganiom towarzyskiej etykiety, skoro się ma środki używać życia w sposób szlachetny, a zarazem swobodny? Najbliższe otoczenie Reginy składa się w chwili rozpoczęcia dramatu oprócz Cecylji, z dwóch osób: pani Melanji na pół przyjaciółki, na pół sługi i starego służącego Antoniego Sęka. Obie te osoby odgrywają ważne, choć tylko epizodyczne role w dramacie, musimy się więc obznajomić z niemi. Melanja Ziemska, smutną miała przeszłość — jest to kobieta upadła w powszedniem tego słowa znaczeniu. Uwiedziona przez słynnego Donżuana Ksawerego hr. Jastrzębca, a następnie porzucona przez niego, żyła w pogardzie u świata, dopóki nie wzięła jej do siebie Regina. Regina wiedziała o przeszłości Melanji, a przynajmniej domyślała się jej i dla tego właśnie wzięła ją do siebie i uczyniła swoją towarzyszką, ażeby okazać jak mało dba o opinję ludzką. Sześćdziesięcioletni Antoni, to drugi ojciec Reginy. Rodzic Reginy umierając i pozostawiając jedynaczkę sierotą, uczynił sługę swym zastępcą. i uczynił słusznie, bo stary Antoni kocha swą panienkę jak własne dziecko i gotów dla niej wszystko uczynić! Ze wszystkich licznych wielbicieli Reginy najzuchwalszym jest wspominany już przez nas hrabia Ksawery, posiadający wstęp do jej domu. Wyrafinowany rozpustnik, dla którego nie ma nic świętego, postanowił bądź co bądź zostać kochankiem Reginy. Nie udało mu się to jednak: zła natura uczyniła go z węża czyhającego na dziewictwo Reginy, zawziętym jej nieprzyjacielem. Chce on się na niej zemścić — za co? za to że mu nie uległa. Lecz w jaki sposób? Przyszedłszy do Reginy, zastaje u niej dawną swą kochankę Melanję. On Melanją pogardza, ona go nienawidzi, ale widzi, że jest z tym człowiekiem fatalizmem występku związaną. Pomiędzy dwojgiem tych ludzi odgrywa się przykra scena. Jedno drugiemu rzuca w oczy obelżywemi szyderstwami, na końcu jednak tych dwoje ludzi, niemających dla siebie, ani szacunku, a tem mniej miłości, godzi się ze sobą. Jako warunek zgody

podał Ksawery Melanji umożliwienie mu zemsty nad Reginą. Zemsta ta ma być piekielną: uprowadzić Cecylję z domu Reginy i okazać światu potworną rozpustę tej kobiety, która na to tylko biedną sierotę w dom wzięła, ażeby ją zepsuć. Planu swego nie wyłuszcza Ksawery dokładnie Melanji, żąda od niej tylko uprowadzenia dziewczęcia, a upadła kobieta, przeczuwając złe zamiary, wzdryga się, walczy, ale nakoniec przystaje, łudząc się nadzieją, że może uwodziciel do niej się nawróci. Makary powróciwszy do miasta, dowiedział się o śmiertelnej, bezprzytomnej chorobie matki swoich dzieci i wzięciu córki przez Reginę. Zna on Reginę z reputacji, jaką o niej powszechnie mają, zna ją jako rozpustnicę — a w jej domu jest jego ukochana córka, jego Cecylja! Nie tracąc chwili, biegnie do domu pięknej pani. Gwałtowny mu ich wypowiada otwarcie zdanie swoje Reginie, dom jej uważa jako siedlisko występku i hańby — i żąda, by mu oddano Cecylję. Regina słucha wszystkiego spokojnie, dumna, ażeby się módz usprawiedliwiać, i oświadcza, że odda Cecylję tylko jej ciotce (za taką uchodziła jej matka) skoro wyzdrowieje. Jakież ksiądz ma prawo do tej dziewczyny, skoro nie jest jej krewnym, ani opiekunem? Jedyna osoba, która może Cecylją rozporządzać i naznaczyć jej opiekuna, umiera bezprzytomnie w szpitalu. Co za okropne położenie Ojca Makarego! On — ojciec, widzi swą córkę w niebezpiecznem towarzystwie, a nie może jej z niego wyrwać, nie ma prawa do tego, bo nie może się przyznać do ojcowstwa. Gdyby przynajmniej umierająca matka przyszła do przytomności i naznaczyła go opiekunem Cecylji! W tej chwili mu donoszą, że nieszczęśliwa zakończyła życie! Jest więc bezsilnym — i nie wolno mu nawet wyrzucić w słowach na świat swojej boleści i męczarni! (Dok. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

List do naszego Kronikarza paryskiego.

Paryż dnia 1. Kwietnia 1876.

Szanowny Kronikarzu! Nadzwykłe powodzenie jakiego doznaje przedstawiana obecnie na tak zwanym drugim franc. teatrze, (Odeon) sztuka wysnuta z obyczajów rossyjskiej społeczności p. t. „Daniszewy“ t. j. Rodzina Daniszewych, słusznie obudza z Twojej strony pytanie: do jakich przyczyn odnieść należy ten entuzjazm, którego sztuka pod względem estetycznej wartości usprawiedliwić nie może? Wprawdzie nim komedja ukazała się na scenie jako utwor p. Korwina Krokowskiego piszącego się pseudonymem: Piotr Newski, już bulwarowi gazeciarze po wielekroć zaostrzali ciekawość publiczną oznajmiając, że spółpracownikiem oczekiwanej sztuki jest koryfeusz dzisiejszego repertuaru p. Aleksander Dumas i na ten karb zapewne potrzeba zaliczyć większą część oklasków. Słusznie lub nie, p. Dumas, oddawna ogłoszony jest za najdowcipniejszego człowieka we Francji do tego stopnia, że bardzo często przypisują mu nawet dowcip drugich. W epoce ostatniego cesarstwa był on jednem z trzech głównych świecideł scenicznych nazwijmy je raz po imieniu: Aleksander Dumas syn, Offenbach i Tereza. Tak za czasów Ludwika Filipa na scenie górował Scribe, a w beletrystyce Paul de Kock. Powiadają, że jeden z najpoważniejszych w ów czas mocarzy przyjmując nowo uwierzytelnionego posła, powitał go zapytaniem: *Comment va S. M. le Roi et M. Paul de Kock?* (kto wie, czy ten ostatni nieprzeżyje tamtych wszystkich?) Jakkolwiek epoka ostatniego cesarstwa już się ma ku zamknięciu, p. Dumas dotąd jeszcze jest panem paryskich teatrów i gdziekolwiek rzuci jeden z tych śmiałych paradoksów, w które tak obfituje, może być pewnym jeżeli nie uznania estetyków, to niechybnie długiego zbiegowiska widzów. Autor tak oryginalnych zadań jak zabijanie żon, mężów, uwodziciele córek, redukowanie dziewictwa do kapitału, idealizowanie upadłej kobiety i t. p. nadał swojemu imieniowi tyle rozgłosu, że teraz podobnież jakiś syn słońca i brat księżyca zapyta posła francuskiego przedewszystkiem: jak się ma p. Dumas? Pomimo to wszystko obaczmy czy powodzenia Daniszewych nie należy szukać w innem źródle? Po ostatniej wojnie pewne organa prasy, usiłują zatrzeć dawne usposobienia opinji publicznej w Paryżu i nadać jej inny kierunek. W nowej tej tendencji odznacza się szczególnie dziennik *Figaro*, który publikując korzystne wrażenia i pochlebne aprecjacje umyślnie od siebie wyprawianych korespondentów do najodleglejszych stolic Północy, unosi się nad wyższością władzy absolutnej i tę żarliwie ziomkom swoim zaleca. Cel ten szukania aljansu, ma być patrjotyczny i pod tym względem p. Dumas w Daniszewych zchodzi się z ideą Figarowską. Ale zacznijmy od rozbioru samej sztuki.

W rossyjskiem towarzystwie istnieje podanie z czasów Katarzyny II o pewnej księżnej, która nie mogąc oprzeć się synowi pragnącemu zawrzeć związki małżeńskie z poddanką wychowaną przez księżnę, zezwoliła na ten ślub, ale wraz z tem licząc na niestałość lub przesyt męski uknowała na przyszłość zemstę narzuconej sobie synowej. Do uskutecznienia tego zamiaru wciągnęła plebana swojej wioski i ten dając ślub, wpisał w metryczne księgi zamiast księcia kuczera księżnej, najbrutalniejszego z pomiędzy jej sług dworskich i ślepo posłusznego swojej pani. Cel tego podstępu został chybiony przez to, że książę zamiast przesycić się, nabrał przywiązania do żony i kiedy rzecz się wydała, syn nie mogąc ani zostać oskarżycielem matki, ani opuścić żony z którą miał dzieci, przepłacił to życiem. Młoda księżna już miała być oddaną legalnemu podług metryki mężowi kuczerowi, kiedy ją kochający się w niej oddawna miejscowy prokurator ratuje za pomocą fortelu, na jaki jeden prokurator wpaść był zdolny. Dobrał on się do metrycznej księgi, podskrobał nazwisko kuczera i natomiast wpisał... proszę odgadnąć? Nazwisko tegoż samego kuczera. Sprawa kryminalna o fałsz, wzięła pomyślny obrót dla wdowy, dzieci odzyskały prawo do imienia i majątku po zmarłym ojcu, a wdowa żeby nie wyjść za prokuratora jak mu to była zmuszona przyrzec dla dobra dzieci, weszła do klasztoru. Historja ta prawdziwa lub zmyślona, pełna jest sytuacyj dramatycznych i kończy się ostatecznie nauczającem rozwiązaniem. (C. d. n.)

Listy z Wenecji.

Wenecja 16. marca 1876.

Po gwarze karnawałowym, Wenecja wróciła znowu do ciszy i spokoju. Cisza ta jej tylko właściwa, dziwne robi wrażenie na ludziach przywykłych do gwaru i wrzawy miast innych: ni turkot pojazdów, cechujący ruchliwe życie mieszkańców, ni hałaśliwie toczące się bryki naładowane ciężarem, zdradzające przemysł i handel miejscowy, nie naruszają jej ciszy i spokoju. Śród tych milczących lagunów zda się, że miasto w pół senne lub martwe, że życia tu nie ma, że handel i przemysł całkiem tu rzeczą są obcą. Przeciwnie — przemysł w Wenecji jest tylko całkiem odmiennym od tego jaki się w innych miastach spotyka. Gdy z nim was choć w części zapoznać pragnę, nie sądźcie byście się mieli spotkać w moim opisie z gmachami fabryk, których olbrzymie i okopcone kominy, słupami dymu czarnego, zaciemniać by miały błękitny nieba widnokrąg, nad piękną i uroczą Wenecją; lub czarną chmurą osłaniać przed okiem, łuki i rzeźby jej pałaców, mistrzowskiem wykute dłutem. W mieście tem, gdzie gmach każdy, każdy fronton pałacu jest arcydziełem sztuki, budzącem piękna poczucie, śród tych cennych sztuki zabytków, świst parowych fabrycznych maszyn, zgrzyt kół stalowych, lub huk żelaznych młotów, byłby jak nuta fałszywa śród melodyjnych akordów uroczej natchnieniem pieśni.

Przemysł tu kwitnie i stoi wysoko, Wenecja nim tylko żyje — ale jej przemysł w artyzmie bierze swój początek i na tej drodze się rozwija. Od dawna znane Weneckich zwierciadeł i szkła wyroby, dawniejszej swej sławie w niczem nie ustępują dzisiaj. Cenne wyroby ślicznych tutejszych koronek, znane są w całym modnym świecie i co rok znaczną ilość ich ztąd wywożą. Wyroby hebanowych mebli rzeźbionych i inkrustowanych, wysadzanych kamieniami, mozajką, złotem lub szyldkretem, na wzór staroświeckich, udoskonalone tylko i poprawne w stylu i formie, ogromny mają odbyt; Londyn i Paryż mnóstwo ich co rok zabierają, szląc obstalunków zawsze mnogość, bo to jest specjalność tylko Wenecji. Odlewy artystyczne z bronzu, brane z modeli najpierwszych rzeźbiarzy, europejską mają sławę. Przemysł ten z dniem każdym zdaje się tu powiększać, i on to stanowi główne bogactwo Wenecji. Umiejętny tylko zarząd w fabrykach takich wyrobów, nie był by sam dostatecznym, gdyby takowe nie miały także robotników inteligentnych i wykształconych. W tym więc celu Wenecja ma osobną szkołę „Scuola d' arte aplicata all' industria,“ która pod zarządem zdolnych ludzi, rok rocznie wydaje znaczną ilość wykształconych rękodzielników. Zwidzając pracownie wyrobów mebli, na wielką skalę urządzone, łatwo się można przekonać, że każdy pracownik musi mieć rozwinięte i wykształcone poczucie artystyczne swego rzemiosła, jeśli z pod ich dłuta wychodzą rzeźby tak wykończone mistrzowsko, że ręka znakomitego artysty tylko dokonać je mogła. By o tem dać wam pojęcie, jak cenne mogą być takie wyroby, przytoczyć mogę to, że sam widziałem biurka i kantorki, które sprzedanemi zostały po 20 i po 40 tysięcy franków. Lecz każdy mebel taki nie jest sprzętem tylko, lecz zarazem prawdziwem arcydziełem rzeźbiarskiej sztuki; ozdoby złożone czy to z aniołków, czy ludzkich postaci, czy zwierząt, misternie wyrzeźbionych z drzewa, z cennych marmurów, lapisów lub innych kamieni, są prawdziwie artystycznej wartości; wyrób pokryty inkrustacjami z kości słoniowej, metali, szyldkretów, tworzącemi piękne bukiety, widoki lub osób postacie, pełne wyrazu i życia, stanowią całość tak ładną, że mimo woli zapomnieć trzeba o użytecznej stronie przedmiotu, a cenić go tylko jako arcydzieło sztuki. W prostych zwyczajnych nawet meblach, wychodzących z takiej pracowni, zawsze się spotyka ozdobę jakąś wartościową; przed paru dniami w pracowni Toso widziałem stół zwykły, do sali jadalnej, do którego zbliżając się, mimo woli cofnąłem się z razu, widząc pod nim psa olbrzymiego gryzącego kość, którego wzrok i cała postawa zapowiadały wyraźnie, że rzucić się gotów, gdy się do niego zbliżysz — tak rzeźba naturalną i udatną była. Bracia Besarel, najwyżej stoją między rzeźbiarzami tutejszymi: ich wyroby z drzewa i marmuru są wysokiej artystycznej wartości. Sztuka ta tradycjonalnie przechowała się w ich rodzie, przechodząc z ojca na syna, jeden z ich przodków był uczniem tego sławnego Brustolon, który to pierwszy swemi rzeźbami z drzewa uzyskał sobie europejską sławę. Widząc ich utwory i ornamenta, dziwić się nie można, że pierwsze europejskie dwory ubiegają się u nich o ozdoby do swych pałaców. Fabryki mozajek także na wielką skalę się rozwijają, dość zwidzić fabrykę „Salviati“, by mieć o tem pojęcie: dobór kolorów tak żywych i natural-

nych, ich cieniowanie, wierność deseniu we wszystkiem, jest tak udoskonalone, że pejzaże czy ugrupowane postaci na nich zdają się malowidłem mistrzowskiego pędzla. Z fabryki Salviati wychodzi za granicę towarów na 4 do 5 miljonów franków rocznie, a jednak to nie jest jedna tylko fabryka taka, istniejąca tu w Wenecji.

Wspomnieć muszę także o slawie weneckich fotografów pierwszorzędnymi są Vianelli i Sorgato. Nigdzie też może tak pięknie zdjętych widoków z natury widzieć się nie zdarza, jak na fotografjach tutejszych Neja, których mnóstwo po całej Europie się rozchodzi. Wenecji zatem rozwoju przemysłowego ująć nie można, bogactwo jej całe w przemyśle tylko spoczywa. Miasto to na pozór tak ciche i martwe, przemysłem żyje i handel tutejszy jest dość znacznym, lecz tego dojrzeć trudniej, w życie tutejsze nie wniknąwszy, bo transporta wszystkie z okrętów i na okręta, ładowne łodzie przewożą, nie barykadując ci przejścia na cichych ulicach Wenecji; nie tak jak w innych portowych miastach, gdzie towary trzeba na wozy ładować, by je do składu dostawić; tutaj łódź każda do wrót magazynu wolny ma przystęp, a 1200 mostów w kształcie łuku, nad kanałami wzniesionych, nie tamują jej drogi.

O antykwarskim handlu, który tu także pierwszorzędne zajmuje miejsce, nie wspomniałem nic jeszcze, bo tego dotknąwszy tematu, dużo miałbym do mówienia, chcąc dać pojęcie o cennych zbiorach tutejszych, których przedmioty same już przez się wielkiej wartości, a także jako cenne zabytki do historji sztuki służące, przez cudzoziemców poszukiwane i drogo opłacane bywają. W zbiorach antykwarzy są tu obfite skarby, lecz o tem mówić się boję, dziś osobliwie, gdym tyle o handlu i przemyśle gawędził, trwożny!... by czytelniczki waszego pisma, za starego i nudnego gadułę nie miały korespondenta z Wenecji, który w ich mniemaniu na taką opinję zasłużyćby nie chciał.

Edmund L.

Z pola wielkich wynalazków.

Machiny piekielne.

Pisaliśmy niedawno o zbrodni Thomsona, który dla zysków pieniężnych chciał wysadzić okręt z pasażerami w powietrze. Trafem pudło z dynamitem wybuchło już przy ładowaniu okrętu, a nie na morzu, jak sobie tego Thomson życzył, i chociaż wiele ludzi zostało zabitych lub pokaleczonych, zbrodnia nie została wykonaną w wyznaczonych jej rozmiarach. Wiadomość o tym wypadku w jednej chwili obiegła świat cały: widziano w tym coś zupełnie nowego — zbrodnię tak ohydną, że w myśli niczyjej przed tem powstać nie mogła. A jednakże w rzeczywistości było inaczej, porywano się już na lat kilka przed tem do tego rodzaju spekulacji.

Ciekawym nadzwyczaj jest faktem to, że do przyrządów zniszczenia zastosowano nieraz pomysły mechaniczne nadzwyczaj dowcipne, które zastosowane do uczciwych celów mogłyby swym twórcom przynieść daleko większe korzyści materjalne niż te, które przez zbrodnię osiągnąć mogli. Aparat Thomsona, który poprzednio opisaliśmy, jest stosunkowo bardzo pierwotny, tem bardziej, że musiał się autor jego kształcić przed zrobieniem swego wynalazku na innych wzorach machin piekielnych, znacznie dowcipniejszych a wykonanych przedtem.

Przed trzema laty naprzykład, próbowano wysadzić w powietrze podobnym przyrządem jeden z okrętów kompanji Messageries maritimes. Jak zwykle nędzna żądza dóbr ziemskich była pobudką do wykonania zbrodni. Zasadą tego przyrządu była zasada przyjęta w broni iglicowej. Igła była osadzona na cylindrycznym kawałku żelaza, który się w rurce mógł poruszać w tył i naprzód. Na igłę tak umocowaną cisnęła sprężyna. Otóż igła ciągle była podjętą do góry, wciśniętą do rurki i trzymaną w tem położeniu przez jedno ramię dwuramiennego drążka. Oczywiście ściśniona sprężyna cisnęła na to ramię i byłaby przechyliła drążek, gdyby się drugi jego koniec nie opierał na krążku metalowym, który przeszkadza ruchowi. Krążek metalowy obracał się przy pomocy mechanizmu zegarkowego około swej osi i miał na swym obwodzie w jednem miejscu wcięcie. Gdy to wcięcie podczas obrotu stanęło nad końcem drążka, on przecisnąwszy się przez nie podnosił w górę, a drugi koniec tymczasem opadał z igłą razem na dół. Igła, tak jak w iglicówce, wywoływała wybuch zapalnika, a od niego miał wybuchnąć i cały otaczający zapas dynamitu. Na krążku były kreski pokazujące dni; obwód krążka poruszał się codzień o odległość dwóch takich kresek. Jeżeli więc wybuch miał nastąpić np. po dniach dwunastu, to nastawiano krążek tak, żeby koniec opierający się drążka, leżał na dwunastej kresce od wcięcia. Cały ten mechanizm stał w pudle, w którem była nitrogliceryna, dynamit lub też jakakolwiek inna tego rodzaju wybuchająca materja. Na szczęście pomysł zbrodniczy został w czas wykryty, i zbrodnia unicestwiona.

Tak zwana „węglowa skorupa“ jest innym piekielnym wynalazkiem, którego użycie *Times* przypisywały zanadto gorliwym zwolennikom i stronnikom Plimsolla, który wnosił ciągle w parlamencie o środki zaradcze przeciw niebezpieczeństwu życia żeglarzy na starych i zgniłych statkach. Naśladowano z mosiądzu formę kawału węgla kamiennego. Forma była w środku wyżłobiona i napełniona materją wybuchającą. Wrzucano taki węgiel podrobiony pomiędzy węgiel zwyczajny, służący do opalania kotła parowego; na czarno pomalowanego kawałka nie można było od innych odróżnić, i gdy palacz wrzucił go pod kocioł, następował natychmiastowy wybuch, który zwykle przypisywano pęknięciu starego już kotła.

Daleko więcej twórczości zastosowano do tak zwanych „szczurów okrętowych,“ z których znamy dwa rodzaje. Jeden miał służyć do okrętów żelaznych, drugi do drewnianych. Szczur używany do okrętów żelaznych jest blokiem żelaza — formy takiej jak zwykłe bloki żelazne używane do balastu okrętowego. Blok ten jest wewnątrz wydrążony i w wydrążeniu umieszczony świder rurkowy wypełniony kwasem gryzącym. Świder jest połączony u góry z mechanizmem, który go w ruch wprowadza. Sam mechanizm porusza się w skutek wahań okrętu pochodzących od fal morskich. Bloki takie stawią się zwykle na dnie okrętu; gdy więc ten ostatni wahać się zacznie, świder otrzymuje ruch obrotowy, prześwidrowuje dno okrętu, działanie jego jest wzmocnione działaniem kwasu, powstałe dziura, przez którą się wciska woda i zalewając zatapia okręt, tem łatwiej, że dziurę w tem miejscu, gdzie leży ballast trudno jest odszukać i zatkać.

Szczur okrętów drewnianych jest daleko bardziej skomplikowany, i daleko dowcipniejszy. W pudle umieszczone są dwa pionowe cylindry, w odległości mniej więcej pięciostopowej. Pomiędzy niemi umocowany jest cylinder poziomy, w którym się tłok porusza. Każdy z pionowych cylindrów jest do połowy napełniony wodą i każdy z nich jest połączony z jednym końcem cylindra poziomego. Podczas wahania okrętu woda ciśnie naprzemian to na jednę to na drugą stronę tłoku i wywołuje jego ruch poziomy. Ten ruch poziomy zamienia się w zwykły sposób na obrotowy, który się używa do obracania świdra działającego na dno okrętu. Po prześwidrowaniu dziury, świder upada w wodę i śladu nie pozostaje po całej operacji. Jeżeliby po dokonanej zbrodni znaleziono pudełko. to niczegoby się nawet domyśleć nie można było. Naturalnie oba rodzaje szczurów muszą być ustawione w odpowiedniem miejscu.

Używanie machin piekielnych w celach robienia spekulacji na ubezpieczeniach jest stosunkowo nowym wynalazkiem w porównaniu do używania ich w celach zwykłych, zabójczych. Naprzykład w roku 1838 Fieschi zrobił taką machinę z 25 luf karabinowych (był to prototyp nowych kartaczownic), z których wystrzelił odrazu do przedmiotu swej nienawiści, do Ludwika Filipa, jednakże bez skutku oczekiwanego. Bomby Orsiniego, wszystkim znane, należą do tego rodzaju wynalazków. Najprostszą machiną piekielną jest machina właściwa niektórym politycznym szubrawcom w New-Yorku. Jest to pudełko, małe, niewinnie wyglądające, z zasuwanem denkiem. Dno tego denka jest wyklejone papierem szorstkim piaskowym i oparte na główkach zapałek, będących wewnątrz pudełka. Przy otwieraniu podełka, przy wyciąganiu denka, zapalały się zapałki, a od nich proch umieszczony w pudełku. W ostatnim wypadku tego rodzaju, który spotkał pana Green, podejrzywano w pudełku nadesłanem zbrodnicze zamiary, umieszczono więc je w wodzie i w ten sposób bezkarnie otworzono.

Nie ma nic nowego pod słońcem.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Dzieła Teod. Tom. Jeża w pierwszem zbiorowem wydaniu. Tom II „Ofiary“ pow. 2 tomy.

Jeślibyśmy chcieli wyłożyć szczegółową diagnozę tej trzeciej z kolei powieści znakomitego pisarza, musielibyśmy mutatis mutandis powtórzyć tu to, cośmy wyrazili przed kilką miesiącami, pisząc pod tą rubryką o pierwszym tomie zbiorowego dzieł jego wydania. Oryginalność pomysłu, oryginalność wdzięczna, że tak powiemy, poczytnej nader formy, tendencja na wskróś uczciwa, wiejąca zdrowym oddechem z każdej stronicy, humor tu i owdzie tryskający z czystego źródła jowialności prawdziwie polskiej, nie zaś z mętnych kombinacyj zapożyczonych żywcem z mózgownic zagranicznych — oto zalety niepoślednie podnoszące wysoko autora w oczach czytelnika — stawiające pracę jego w rzędzie najznakomitszych tego rodzaju utworów literatury naszej. Nie podajemy na tem miejscu treści, bo spodziewamy się, że każdy z czytelników naszych przeczyta sam powieść całą z żywem od początku do końca zajęciem, a po przeczytaniu niechybnie z naszym sądem się zgodzi. Jedno jedyne zarzucić moglibyśmy autorowi — pod względem przedstawienia książąt Gamajdów. Jeśli egzystowały takie *monstra marina* w rzeczywistości, — dość smutno, jeśli wymyśliła je tylko dla powieści wyobraźnia autora — pióro przesadziło trochę w kolorycie. Jakkolwiek bowiem tym ichmościom dość komparsowa przypadła rola w udziale — za wiele zdaniem naszem *ucharakteryzowani*.

Francuska.

— A travers les Etats-Unis, de l' Atlantique au Pacifique, par M. L. Simonin. 1 Vol. Charpentier.

Jestto cała serja umiejętnych badań zajmująco opowiedzianych przez podróżnika, który zwidził wzdłuż cały ląd stały Ameryki, jeszcze przed ukończeniem międzyoceanowej drogi żelaznej. „Wielka pustynia amerykańska“ „Mormoni“ „Żyły srebrne kopalni Newady,“ „Kalifornia“, „Ostatni czerwonoskóry“ są to tytuły tych w rozmaitość obfitych rozdziałów i oryginalnie przedstawionych faktów. — Stany zjednoczone szybko postępują naprzód, i przekształcają się w okamgnieniu; pożyteczną jest więc rzeczą zwidzić z autorem w tak krótkim czasie tę olbrzymią przestrzeń, którą p. Simonin wiernie starał się opisać żywo przedstawiając przemiany, jakiej uległa ta ziemia w przeciągu kilku lat zaledwie.

— Histoire abrégée des principales litteratures de l' Europe ancienne et modernes par M. L. L. Buron. 1 Vol. 12 Thorin.

Dzieło to na nielicznych swych kartach zapoznaje nas z wszystkimi sławniejszymi pisarzami w wielkich europejskich literaturach przed i po narodzeniu Chrystusa, aż do naszych czasów. Pomimo szczupłego rozmiaru najeżonego samemi faktami, autor umiał zręcznie uniknąć suchej nomenklatury i rzecz zrobić zajmującą.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO.

we Lwowie.

Lam Jan. — Idealiści. Powieść 2ty w 8ce. Lwów. Zł. 3.60.

Listy Stanisława Augusta do Pani Geoffrin od roku 1764 do roku 1777. Wydał z objaśnieniami L. Siemiński w 8ce. Kraków. Zł. 1.

Pol Wincenty. — Geografja Ziemi Świętej, w dwóch księgach. w 8ce dużej. Lwów. Zł. 1·50.

— Mochort. Rapsod rycerski z podania. w 8ce Lwów Zł. 2.

— Pacholę hetmańskie. Dyaryusz Walentego Rożanki w 8ce. Lwów. Zł. 3.

— Pamiętniki IMCI Pana B. Winnickiego. W trzech częściach w 8ce. Lwów. Zł. 2.
— Północny Wschód Europy i hydrografja Polski. w 8ce. Lwów. Zł. 4.
— Powódź. Dramat w trzech częściach. w 8. Lwów. Zł. 1·50.
— Wit Stwosz. Poemat z pomników historycznych XV wieku. w 8ce. Lwów. Zł. 1·20
Rogosz Józef. — Artur Grottger — Jan Matejko. Studja o sztuce w Polsce. w 8ce. Lwów. Zł. 1·50.
Słowacki Jul. — Un épisode en Suisse. (W Szwajcarji.) Le tombeau d' Agamemnon, fragment d' un voyage en Grèce — Traduit du polonais. in 8. Paris 80 ct.
Verne Juljusz. — Fantazja Dr. Ox. w 12ce. Warszawa. 75 ct.
Auszug aus einem Exposé über die Organisation des gewerblichen Unterrichts in Oesterreich. gr. 8. Wien 60 kr.
Herbst Dr. Eduard. — Handbuch des allgemeinen Strafrechtes. Mit Rücksicht auf die Bedürfnisse des Studium und der Anwendung bearbeitet. II. Band Von den Vergehen und Uebertretungen. Vierte vermehrte und verbesserte Auflage. 8. Wien fl. 3.
Singer Dr. Caspar. — Das Geistesleben der Blinden. Vortrag gehalten in Wien. 8. Wien. 40 kr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— W poniedziałek odbędzie się przedstawienie amatorskie w teatrze hr. Skarbka na rzecz funduszu pomnikowego dla śp. Seweryna Goszczyńskiego. Widowisko składać się będzie z prologu pióra St. G. dwóch komedji, śpiewu między aktami i obrazu z żywych osób, przedstawiającego apoteozę poety. Biletów na to przedstawienie nabywać można w księgarniach pp. Gubrynowicza i Schmidta i Wł. Bełzy.

— Dziś, w niedzielę odbędzie się koncert na korzyść szkoły ogrodniczej pod kierownictwem pana Ludwika Marka. W koncercie wezmą także udział panie: M. H. Paulina Lachner i Marja Deryng.

— W szeregu odczytów urządzonych w tym roku przez Towarzystwo pedagogiczne we Lwowie, miał dr. Edmund Burzyński, kustosz bibljoteki akademickiej, cztery wykłady o początkach cywilizacji i człowieku przedhistorycznym. Prelegent wykazał najprzód różnicę między kulturą a cywilizacją, podzielił następnie dzieje cywilizacji na kilka okresów, i przystąpił potem do opisania sposobu życia pierwotnych mieszkańców kuli ziemskiej według danych, jakie nam wykopaliska w ostatnich dziesiątkach lat w różnych krajach poodkrywane, jako też spostrzeżenia poczynione nad stanem teraźniejszych dzikich ludzi w tym względzie dostarczyły. W tym celu podzielił prelegent czas przedhistoryczny na trzy główne okresy tj. kamienny, bronzowy i żelazny i wykazał charakterystyczne ich znamiona. Następnie mówił o budowlach nawodnych, grobach i mogiłach zawierających szczątki ludzkie i narzędzia z czasów przedhistorycznych, nareszcie wykazał, że te trzy okresy: kamienny, bronzowy i żelazny nie były dla wszystkich ludów równoczesnemi. Wykłady dr. Burzyńskiego o początkach cywilizacji, stanowią tylko wstęp do wykładów o dziejach cywilizacji, które dr. Burzyński na przyszłą zimę zapowiedział i będą drukiem ogłoszone. Wykłady dr. Burzyńskiego odznaczały się dobrem ujęciem przedmiotu, jakoteż jasnem i zrozumiałem przedstawieniem, zgodnem z wynikami najnowszych badań.

— Z końcem marca rb. został zamknięty konkurs dramatyczny teatrów warszawskich. Ogółem przysłano 11 dramatów i 12 komedyj.

— W Warszawie ma wyjść „Słownik terminów naukowych i społecznych“ w językach: polskim, rossyjskim, niemieckim, angielskim, francuskim i włoskim.

— Józef Brandt wykończył obraz większych rozmiarów, przedstawiający Koniecpolskiego, gdy pod Martynowem odbija Tatarom jeńca i łupy.

— W Rzymie otwarto 14 marca b. r. w dawniejszem Collegio Romano nową bibljotękę p. n.: „Bibliotheca Vittorio Emanuele,“ w której znalazły pomieszczenie książki pochodzące z licznych klasztorów zniesionych.

— Cesarska prokuratorja skonfiskowała w Krakowie w księgarni Gebetnera cały nakład dzieła pt. „Wieczory pod lipą, czyli historja narodu polskiego opowiadana przez Grzegorza z pod Racławic.“ Powodem konfiskaty były karty na końcu dzieła, część najpatrjotyczniejsza całej książki, karty, które wydawca umieścił wbrew woli autora

— Zmarły w Bostonie bibljofil Samuel Drake pozostawił znaczny zbiór obejmujący około 15.000 tomów, 30.000 broszur, 9.000 portretów, zupełną kollekcję najstarszych czasopism Anglji i Ameryki północnej, w końcu z 500 tomów opisów podróży pomiędzy plemionami indyjskiemi.

— Na dorocznem zgromadzeniu członków „Royal Literary Found'u“ (Towarzystwo ku wsparciu biednych pisarzy) w Londynie, obrano na prezydenta Derby'ego w miejsce zmarłego niedawno Stanhope'go. W ubiegłym roku udzielono 50ciu potrzebnym wsparcia sumę 2080 funt. szt. (około 21000 złr.)

— W nadziei, że stan oblężenia zniesionym zostanie, zapowiedziano w Paryżu pięć nowych dzienników z tytułami wziętemi z czasów komuny a obiecującemi nader wiele: „Le Mot d' Ordre — Le Réveil — L' Aveuir — La Marseillaise i Le Père Duchesne.“

— Paryska „Librairie de Bibliophiles“ zapowiedziała wspaniałe wydanie w 12 tomach, wyborowych dzieł znakomitego fejletonisty Juljusza Janin'a. Zbiór rozpocznie utwor „Martwy osioł“ który swojego czasu rozniósł szeroko i ugruntował sławę autora, a zakończony zostanie „Wnukami Rameau'a.“ Obok krytyk dramaturgicznych, prac czysto literackich i nowelli, zbiór ten zawierać będzie także korespondencje zmarłego twórcy fejletonu.

Podróże.

— W kołach naukowych Wiednia, Paryża Berlina i Petersburga jest obecnie przedmiotem żywych dyskusyj ważna kwestja, poruszona przez Weyprechta przewodnika austrjacko-węgierskiej wyprawy podbiegunowej. Tenże wspomniał niedawno na publicznym odczycie we Wiedniu, że kompetentne sfery układają międzynarodową wyprawę do bieguna północnego, której głównym celem będą badania czysto naukowe z pominięciem zupełnem celów geograficznych. Głównie bowiem idzie o założenie w okolicach arktycznych stacyj obserwacyjnych, któreby zajmowały się zjawiskami magnetycznemi i metereologicznemi. Hrabia Wilczek w porozumieniu z Dicsonem, Gruinellem i innymi ofiarował ze swej strony, iż poniesie jednoroczne koszta utrzymania stacji austrjackiej na Nowojej-Zemli, urządzi jeden statek i towarzyszyć będzie wyprawie. Rossyjskiemu Towarzystwu metereologicznemu w Petersburgu przedłożono do rozwagi projekt odnośny.

Odkrycia i wynalazki.

— Donoszą z Lucksor'u, że w pewnem miejscu, na północ od obelisków, u wchodu do wielkiej świątyni Karnak'u, zrobiono odkrycie bardzo cenne. Pod ruinami odgrzebano skrzynię z piaskowca, w której wnętrzu znaleziono posąg Hippopotama, wykuty z zielonego bazaltu, pierwotnie zapewne stojący w prostopadłej postawie z symbolami po obu stronach. Posąg wysoki na 3 stopy, jest wykuty z nadzwyczajną dokładnością i symetrją. Jeden napis hieroglificzny zbiega wzdłuż grzbietu, drugi umieszczony na podstawie posągu, będącego podług zdania znawców skończonem arcydziełem rzeźbiarstwa, o wiele nawet wspanialszem od sławnej krowy ze zielonego bazaltu, umieszczonej w muzeum w Bulak. Napisy zawierają nazwiska Psammetycha Igo, jego żony i córki, i nadto jeszcze jakiegoś nieznanego dotąd króla.

— Okręt liniowy Magenta, który zatonął w porcie Toulonu, miał na pokładzie 30 skrzyń z archeologicznemi napisami na kamieniu, zebranemi mozolnie pośród ruin Kartaginy. Szczęściem wszystkie 30 skrzyń wydobyto wnet z otchłani wodnej, a ostatniemi dniami przybyły już do Narodowej Biblioteki w Paryżu, gdzie będą odcyfrowane wszystkie napisy obejmujące powierzchnię 80 metrów.

— Angielski inżynier Smith zrobił bardzo ważny wynalazek. Obmyślił bowiem przyrząd, za pomocą którego maszynista prowadzący pociąg za prostem naciśnieniem guzika hamuje odrazu wszystkie koła wagonów całego pociągu, co daje możność zatrzymania go bardzo szybko nawet w największym biegu. Robione z tym aparatem próby dały najświetniejsze rezultaty, a pierwsza z nich robiona na szląskiej drodze. Pociąg składał się z lokomotywy tendru i sześciu wagonów. W pociągu znajdowali się wynalazca Smith, inspektor drogi żelaznej, oraz kilku techników. Pociąg wyruszył z Berlina i przy kurjerskiej szybkości biegu, dwa razy został zatrzymany za pomocą aparatu w przeciągu 40 sekund. Rezultat taki wprawił wszystkich w zdumienie. Dzięki temu przyrządowi wypadki spotkania się dwóch z przeciwnych stron po jednej drodze biegnących pociągów, które tyle już spowodowały nieszczęść, stają się prawie niemożliwemi, gdyż jest już sposobność natychmiastowego zatrzymania pociągu będącego nawet w pełnym biegu.

— W Nieparcie, w W. ks. Poznańskiem p. Z. Czarnecki odkrył ważny dokument z XIV wieku z czasów Władysława Łokietka. Jest to umowa między włościanami a proboszczem o utrzymywanie szkoły parafialnej.

Zjawiska natury.

— Długo oczekiwany wybuch Wezuwjusza rozpoczął się nareszcie 17go Marca b. r. wieczorem. Lawa popłynęła na dół ku Pompei. Olbrzymi słup jak śnieg białego dymu, zafarbowanego ogniami podnoszącemi się ze szczytu góry, przedstawia widok arcywspaniały. Nawet strumienie lawy wyrzucane bywają na dość znaczną wysokość z piekielnej tej otchłani. Równie Aetna nie spoczywa, a wyrzuca pilnie dym i płomienię; seismograf drży bezustannie i każdej chwili oczekują wybuchu.

— W Kesmark, na Węgrzech, miało miejsce 18 marca br. z rana o 4 godz. krótkie ale dość gwałtowne wstrząśnienie ziemi.

Dżuma.

— W Hillah nad Eufratem w okresie pięciu dni t. j. od 1 do 5 Marca zachorowało nagle 20 osób na morową zarazę, z tych 8 umarło. Straszna ta epidemja wybuchła równie w Bagdadzie na prawym brzegu Tygrysu, i jeśli nie zostanie w zaczątkach stłumioną a przybierze szerokie rozmiary, gotów się powtórzyć rok 1838 pamiętny straszną zarazą i ogromnemi spustoszeniami między ludnością w Turcji.

Szkolnictwo.

— W uniwersytecie Jagiellońskim, stopień doktora wszech nauk lekarskich, otrzymali pp.: Zygmunt Dzikowski z Kałusza, Juljan Olpiński z Trębowli i Tadeusz Krobicki z Krakowa.

— Niedawno uchwalone prawo o wolności zakładania wyższych instytutów naukowych we Francji, tak chciwie przyjęte i wyzyskiwane przez ultramontanów tamtejszych, zostało zagrożone przedłożeniem Waddingtona ministra oświaty, wnoszącem, aby państwu przywrócony został przywilej wyłączny w udzielaniu stopni akademickich. W razie uchwalenia takiej ustawy, stracą wszystką swą moc attrakcyjną uniwersytety zakładane funduszami jezuickiemi.

— W Brixen zostało 13 marca b. r. zamknięte jako zakład naukowy, kolegjum jezuickie Fagnani, które swojego czasu przesiedliło się tam z Padwy, i przestało istnieć faktycznie z d. 15 marca b. r. Jeszcze we Wrześniu przeszłego roku postawiono mu jako warunek dalszego istnienia, by z końcem półrocza zimowego 1875 — 76 wykazało dokumentami, iż założyciele ustawom przepisanym dla prywatnych zakładów naukowych. Zabiegi były gorące celem dostarczenia takich dowodów, snać jednak nie odpowiedziały wymaganiom, skoro osiągnęły skutek wręcz przeciwny.

— Tak zwany watykański czyli papieski uniwersytet w Rzymie zamknięto dekretem ministra oświaty z 12 Marca b. r. gdyż nieodpowiadał ustawom przepisanym.

Wojskowość.

— Niemiecka marynarka posiada teraz personal torpedowy który składa się z następujących stopni: Torpedowy kapitan-porucznik, torp. porucznik, torp. podporucznik, starszy torpeder, torpeder, torpeder-obermaat, i torpeder-maat. Uniform mają ten sam co oficerowie marynarki resp. korpus majtków, z odznakami, oficerowie zaś na epoletach czarne pola. Podczas miesięcy letnich odbywać się będą w porcie Wilhelmowym egzamina odnośne i próby z defensywnemi torpedami.

ROZMAITOŚCI.

— Niedawnemi czasy obiegała po dziennikach europejskich humorystyczna anegdota, której bohaterem był koń sławnego powieściopisarza węgierskiego Jokaia. Szlachetne to zwierzę miało okazywać zawsze niedwuznaczne niezadowolenie, ilekroć furman zachodził doń z przodu. Długi czas nie umiano sobie wytłumaczyć przyczyny tego kaprysu niezwykłego u konia, zresztą łagodnego i spokojnego. Nareszcie rzecz się wyjaśniła w ten sposób. Gdy pewnego razu wspomniany furman, wymyślając gniewnie na upor grymaśnika, wypuścił z ust nieodłączną mu nigdy fajeczkę, koń stanął na niej szybko przednią nogą, i żadną miarą nie dał jej ruszyć z miejsca. Okazało się tedy, że koń znieść nie mógł dymu z prostego tytoniu furmana, a dowcipnisie twierdzili, że rządowy tytoń węgierski tak lichy, iż znieść go nie mogą nawet nosy czworonożnych. Jakkolwiek ta anegdota wygląda pozornie na dowcipną tylko satyrę, wymierzoną przeciw złemu gatunkowi rządowego tytoniu węgierskiego, przyczem przypisywany koniowi Jokaia przymiot oceniania dobroci tytoniu niejednemu zmyślonym wydać się może, zaprzeczyć się jednak nie da, że zwierzęta, a raczej pewne zwierzęta, posiadają jakiś zmysł rozumowy, pomagający częstokroć nader szybko ich wrodzonemu instynktowi, który to ostatni w ogóle wymaga koniecznie pewnej dozy rozumu. Na podstawie niezliczonych faktów podpatrzonych w świecie zwierzęcym, badacze przyrody powzięli przekonanie niezłomne, że nietylko człowiek jeden zdolny jest do przyjmowania i odczuwania wrażeń. do okazywania uczuć swoich. I zwierzęta posiadają tę własność, choć oczywiście w mniejszym a różnym stopniu, odpowiednio do rzędu zajmowanego przez siebie w świecie zwierzęcym. Ludziom odmawiającym zwierzęciu najmniejszej choćby tylko dozy rozumu, i e o i p s o zaprzeczającym z góry możliwemu u niego rozwojowi i postępowi. twierdzenie to wyda się bezpodstawnem; odpowiedzą argumentem, iż to co uczeni niektórzy nazywają uczuciem u zwierzęcia, jest w istocie rzeczy niczem innem, jak jeno oznaką bolu fizycznego lub odwrotnie. Znakomity przyrodnik dr. Ledeganck, broni dzielnie zwierzęta przed takim zarzutem niesłusznym, przywodząc szereg przykładów, bądź z własnego bądź z obcego doświadczenia zaczerpniętych, a składających się wymownie na poparcie jego zapatrywań. Liczne opowieści, pozostałe z czasów starożytnych i średniowiecznych, w których zwierząt szlachetnymi są bohaterami, nie mogą, oczywiście, posłużyć w tym wypadku za dowód umiejętnościowy. Natomiast, ktokolwiek raz widział wiernego psa który pilnował wytrwale łoża pana chorego, lub na grobie jego świeżo zamkniętym żałobne wywodził skargi, ten dodać musi koniecznie, że to zwierzę poczciwe okazywało jawnie cierpienia niekłamane. Nie było tam u niego ni drżeń kurczowych, ani przeraźliwego jęku, wywołanego bolem fizycznym. ale rozpacz, ale smutek bezdenny, obezwładniający go prawie, znieczulający na wszelkie wpływy zewnętrzne. Równie widocznemi są często oznaki radości u zwierząt. Gdy pierwsza krowa brahmańska (Bos silhetanus) po długiej podróży morskiej, w Anglji na ląd wysadzoną została, nie mogła żadną miarą opanować radości swojej na widok pierwszej łąki zielonej. Podczas gdy cały czas na okręcie zachowywała się spokojnie i łagodnie, teraz biegała po trawnikach jak szalona, pruła rogami ziemię w prawo i lewo, słowem nacieszyć się dość nie mogła świeżo odzyskaną swobodą i zielonością rozkoszną. Podobne objawy radości u zwierząt obserwować mogą rok rocznie gospodarze nasi, mianowicie gdy bydło, przesycone już paszą zimową i monotonnością stajni, wywiedzione zostanie po raz pierwszy na zieloną paszę. A pies, spuszczony z łańcucha witający pana po dłuższem niewidzeniu, uszczęśliwiony gdy mu towarzyszyć może na przechadzkę, a zmartwiony wielce, gdy go się zostawia samego, nie wymownymże dowodem, że niektóre zwierzęta cieszyć się lub smucić umieją? Znamy sami psa, który ma ten zwyczaj, że ilekroć zostawią go w domu samotnego, czego on niezmiernie nie cierpi, z gniewu wyskakuje natychmiast na łóżka i wszystką pościel rozrzucając mści się tym sposobem za przykrość doznaną. I śmiech nie jest wyłącznym ludzi przywilejem. Pomiędzy małpami słyszeć można często u jednego ich gatunku śmiech głośny i pusty, znany dobrze mieszkańcom Wschodu, z którego to nawet tytułu poważne tamte ludy częstokroć nas Europejczyków, śmiejących się lada chwila, przyrównywują do małp owych. Nawet łzy występują u niektórych zwierząt jako znak wewnętrznego żalu. Jest n. p. rzeczą ztwierdzoną, że jeleń, opadnięty przez zgraję psów, ma oczy łez pełne. Stąd zapewne u nas przysłowie, porównywające wzrok boleścią a zgrozą przejęty do wzroku łani. Podług Linnée'go równie niedźwiedzica zalewa się łzami przy gwałtownem a bolesnem wstrząśnieniu umysłu. Humboldt zaś twierdzi, że małpa Saimiris z Peru (Saimiris entomophagus) jest tak miękkiego serca i umysłu, że za najlżejszem wrażeniem smutnem łzy rzewne płyną jej z oczu. Uczucie skłonności wzajemnej, które zbliża do siebie istoty żyjące, dzielone bywa na trzy kategorje: miłość macierzyńską, miłość rodzajową i przyjaźń. Pierwsze dwie ściśle wzięte, nie mogą byc uważane za zewnętrzne objawy i dowody istnienia uczucia. Natomiast. gdy n. p. miłość macierzyńska dalej się rozciąga, niżeli nad rodzoną dziatwą, wówczas uważać to już należy jako wypływ z jakiegoś szlachetniejszego poczucia, cale różnego a wyższego od zwykłego instynktu. Jakkolwiek troskliwa kwoczka odróżnić umie kurczątka swoje od obcych i odpędza je skwapliwie od własnej gromadki, a krowa niezadowolona widzi cielątko obce, to przecie samica słonia pozwala chętnie pierwszemu lepszemu młodemu pożywić się mlekiem przeznaczonem li dla własnego potomstwa. Bywały wypadki, że gdy kotka przy porodzie zginęła, dziatwę osieroconą przyjmowała suczka karmiąca właśnie swoje szczenięta, i odwrotnie Nie mniej znajdujemy przykładów u zwierząt o miłości dziecięcej dla rodziców. Harris opowiada w swojem dziele „Wild Sports of Africa" o młodem zaledwie na metr wyrosłem słoniątku (Elephas africanus). które okazywało najwyższą boleść i smutek, gdy jego matka, ugodzona strzałem. upadła na ziemię nieżywa; biedactwo biegało z rozpaczliwemi jękami w około martwej rodzicielki, i drobną swą trąbką usiłowało ją podnieść na nogi. Miłość rodzajowa nie zawsze jest wynikiem konieczności fizjologicznej. Współdziałalność samca przy budowie gniazda potrzeba raczej uważać za wyraz uczucia troskliwości, ochoty w udzielaniu pomocy towarzyszce; na karb też uczucia takiego kłaść należy poświęcenie samca, gdy przy wygrzewaniu jaj zastępuje często samicę, bo przed wykluciem się piskląt o miłości rodzicielskiej mowa być nie może! Następujący wypadek ilustruje dosadnie przywiązanie obopólne między samcem a samicą u niektórych ptaków. Para kosów (Merula vulgaris) miała gniazdo w pobliżu zakładu fabrycznego. Pewnego dnia przyszła ułaskawiona sroka, zabrała przemocą samicę i zaniosła ją aż w pobliże miejsca, gdzie pracowali robotnicy. Samiec poszedł w pogoń za uwodzicielem, podjął z nim zaciętą walkę, uwolnił samicę i wrócili oboje z tryumfem do gniazda. Bennet opowiada o wypadku podobnym, w którym znowu samica okazała swą miłość gorącą i niezłomną dla małżonka. W dużym kojcu chowano kilka kaczek chińskich (Anas galericulata). Pewnej nocy ukradziono jednego ze samców, skutkiem czego jego towarzyszka popadła w smutek i żal nieukojony. Usiadła w kącie kojca strapiona i nie chciała żadną miarą przyjąć pokarmu. Jeden z obecnych luźnych samców wystąpił, filut, w roli pocieszyciela i nuż w grzeszne do niej zalecanki. Ale odepchnęła go stanowczo, i popadła w cięższą jeszcze żałobę. Tymczasem stracony towarzysz odnaleziony został szczęśliwie i wniesiony do kojca. Trudno określić tę radość i uniesienie, z jakiemi się powitała połączona znowu para. Atoli czuła małżonka snać oskarżyła nieroztropnego zalotnika, bo pan mąż począł go odtąd prześladować i w końcu zabił w pojedynku. Najjaskrawsze atoli światło na stronę moralną zwierzęcego życia, rzuca bezsprzecznie uczucie przyjaźni, tak częste między niemi. Oczywiście, że gdzie jest przyjaźń, tam musi być i nienawiść. Przytoczymy kilka przykładów na świadectwo. Pies, kot, papuga, obdarowują hojnie swą przyjaźnią, są jednak zdolne do srogiej nienawiści. „Płacą — jak Huxley powiada — przyjaźnią za przyjaźń, nienawiścią za nienawiść." Montagu opowiada detalicznie o przyjaźni trwałej między gęsią a psem, codzienne doświadczenia nastręczają tysiące dowodów o węzłach przyjaźni, łączących z sobą najróżnorodniejsze zwierzęta domowe. Ileż to razy widzieliśmy kota wylęgającego się najwygodniej na grzbiecie psa śpiącego—a co więcej, karcącego go nawet, gdy temu już za wiele było drogiego (!) ciężaru. Podobnie, kurę odpoczywającą zawsze na grzbiecie pieska przyjaciela i t. p. bez liku. Nierzadką bywa także przyjaźń między lwem a psem. Pierwszy lew w *Jardin de Plantes* paryskiem, największą przyjemność znajdował w zabawie z małą psiną, z którą igrał po kilka godzin dziennie. Jak u ludzi tak i u zwierząt przyjaźń nie zawsze jest następstwem dobrego obejścia się wzajemnego, ale rodzi się często od pierwszej chwili spotkania. Żeglarz Payne opowiada, że młody szympans przywieziony przezeń z Afryki do Anglji, gdy pierwszy raz znalazł się na pokładzie okrętu, kilku majtkom podał rękę ochoczo, innym zaś uczynić to samo stanowczo się opierał a nawet zawsze w gniew wpadał, gdy nań o to nalegano. Małe dziecię postępuje zupełnie równo, i nie wiadomo, kto kogo w tym razie „małpuje?" Ciekawym fenomenem. napotykanym przeważnie u dzikich ludów a nieobcym i u zwierząt, jest przyjaźń dwojga istot następująca tuż po najzaciętszej nienawiści. Kapitan Williamson opowiada, jak razu pewnego wrzucono do klatki tygrysowi na pożarcie małego pieska. Ku wielkiemu zdziwieniu widzów i zapewne tygrysa, piesek stanął do dzielnej obrony przeciw groźnemu przeciwnikowi. Zalazł w kąt klatki i ilekroć tygrys się doń zbliżył, ukąsił go w paszczękę lub w gardziel, że wielki rozbójnik cofał się z bolesnym rykiem. Trwało to jakiś czas: w końcu tygrys zniechęcony nierówną walką, zaniechał pewnej zdobyczy a nawet wyperswadował ją sobie zupełnie i począł obchodzić się wcale względnie z towarzyszem małym. Dzielił się z nim strawą otrzymywaną nawet pieścił się. o ile to tygrys potrafić zdoła, i taką przyjaźń zawarli z sobą, że później, choć psina otworem, zrobionym umyślnie w klatce, wychodziła od czasu do czasu na przechadzkę, wracała jednak zawsze do budy przyjaciela. Po zgonie tygrysa piesek opłakiwał długo jego stratę. Jak widzimy z tego wszystkiego, zwierzęta podlegają w ogóle tym samym co ludzie, uczuciom i namiętnościom. Atoli stosownie do szczebla społecznego lub zoologicznego, wrażliwość taka na uczucia, czy moralne czy fizyczne, rośnie lub spada tak u jednych jak drugich. Podczas gdy, np. pies choć tylko lekko zraniony skarży się zaraz bolesnem wyciem, koń pracuje dalej w chomącie, choć rzemienie do krwi skórę mu przecięły. Dziki Australczyk więcej pewnie zmartwiony utratą psa niżeli żony, a Indjanin z północnej Ameryki bez jęku, bez skargi wytrzymywał tortury najstraszniejsze, podczas gdy Sir Robert Peel, nigdy nie mógł się zdecydować, by ukłuć się igłą w rękę i módz badać własną krew pod mikroskopem.

— Jakkolwiek świat cały jednym chórem skarży się na zbytek i szalone wybryki wszechwładnej mody, niepoprawna ta grzesznica coraz to nowe wynajduje sobie zachcianki, któremi zaraża potem nie do uleczenia miljony płci pięknej z największą tejże samej szkodą. Wyczytaliśmy w jednem z pism zagranicznych, że elegantki pierwszorzędnych stolic europejskich postanowiły zarzucić dotychczasowe skromne a tanie szpileczki, miasto zaś tychże każą sobie wyrabiać srebrne, z główkami z drogich kamieni mianowicie brylantów. turkusów, rubinów szafirów i szmaragdów. Oczywiście, że w takim razie szpileczki, zwykle lekceważone i tuzinami dziennie zpotrzebowywane, byłyby w większem poszanowaniu.

Od Redakcji.

Prosimy o odnowienie przedpłaty na II tom Jeża, ponieważ odbierający tom I są obowiązani do odbioru następnych. Rozsyłka tomu II już rozpoczęta.

Treść Nr. 15.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).